№ 16. Warszawa, dnia 21 (9) Kwietnia 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Bil dynamitowy.

Pascal drwił z moralności nowoczesnej, która za górą lub rzeką zmienia swoje przepisy; jakżeby szydził obecnie, gdyby patrzył na ten chaos moralny, który dziś zapanował w Europie! Już nie góry i rzeki stanowią granicę najsprzeczniejszych reguł etycznych, ale w tych samych narodach, w tych samych warstwach społecznych zbrodnie i cnoty noszą jednaką fizyognomię. Co jest w całej Europie dobrem a co złem, nie wiadomo, albo raczej wiadomo, że nic takiego, coby jednaką miało wartość na przestrzeni całego stopnia geograficznego lub w ciągu kilku tygodni — niema. Wulkaniczny grunt cywilizowanego świata tak wywraca wszelkie reguły i swymi wybuchami burzy całe rusztowanie obyczajowe, że gdy przyszły historyk zechce odrysować nasze prawa moralne, zgubi się w sprzecznościach i nie wydobędzie stałych znamion. Obok dawnych bowiem zasad, potępiających wszelkie formy gwałtu, szeregują się coraz liczniej najstraszniejsze czyny, otaczane chwałą. Zaiste, doba dzisiejsza nie ma żadnej etyki, albo ma zupełnie dawniejszemu systemowi przeciwną — wojenną.

Poważną cyfrę morderczych zapasów, z których tka się obecna historya całej Europy, pomnożyły olbrzymie zamachy dynamitowe w Anglii. Mściwość doszła już w nich do granicy, po za którą nawet zaprawiona do tego rodzaju widoków wyobraźnia dalej sięgnąć nie może. Tu już nie idzie o zabijanie jednostek, ale o wysadzanie całych miast. Z początku na rachunek przesady reporterskiej zapisana wieść o potwornym zamiarze spiskowców irlandzkich podminowania Londynu okazuje się zupełnie prawdziwą. Dziwne przeczucie imaginacyi! Przed kilkunastu laty ukazała się powiastka angielska (na język polski w *Wędrowcu* przełożona), opisująca dwu awanturników, którzy zgromadzili w piwnicach olbrzymią masę prochu i zagrozili wysadzeniem najbogatszej części Londynu, jeśli mieszkańcy nie złożą im okupu. Nieprawdopodobny ten pomysł, z którego anglicy może szczerze się uśmieli i uznali za wybryk fantazyi, sprawdził się w wypadkach obecnych z tem większem niebezpieczeństwem, że siłę prochu zastąpiła niszcząca potęga dynamitu, a iskrą podpalającą miny nie jest chęć zysku, lecz zemsty. Dawno już chłodny John Bull nie czuł się tak przerażonym, dawno a może nigdy nie okazał tyle pośpiechu w zmianie ustaw. On, który całe stulecie opiera się wprowadzeniu nowych praw, chociaż ich słuszność dawno uznał, on, który spokojnie patrzy na tłumy umierające z głodu i nie poświęci dla nakarmienia ich okruszyny „dawnego dobrego zwyczaju," z szybkością rewolucyjną przeprowadził przez obie Izby ustawę, która w zasadzie podważyła fundament konstytucyi angielskiej, święty, nietykalny *habeas-corpus-act*. Gdy sir Harcourt powstał z miejsca dla usprawiedliwienia swego bilu dynamitowego, ze wszech stron Izby niższej zagrzmiały oklaski. Pierwsze zaś słowa, jakie wybiegły z wzruszonych ust mówcy, padły bukietem uniesień pod stopy policyi. „Ta sama wdzięczność — rzekł on — jaką naród wynurza wodzom po tryumfach świetnie zakończonej wojny, należy się dzisiaj policyi angielskiej: ona odwróciła od ojczyzny smutek okropniejszy, niż wojna przegrana z wrogiem ościennym." Instynkt zachowawczy przelęknionych lordów kazał im niezawodnie przyjąć gorący udział w tej wdzięczności. Jak dalece zaś pilno im było uchwalić środek zabezpieczający, dowodem to, że gdy jeden z członków parlamentu wniósł małą do bilu poprawkę (ażeby podlegało karze wyrabianie i przechowywanie materyałów wybuchowych tylko przy odkryciu zamiaru zbrodniczego), nie chciano się nawet zastanawiać nad nią. Trzy odczytania nowej ustawy zajęły ledwie półtory godziny czasu. Z Izby niższej przesłano bil natychmiast do wyższej. A gdy tu zaczął go rozbierać poważny i bynajmniej radykalizmem niezarażony Salisbury, zdumieni lordowie wytrzeszczyli oczy i wyraziwszy lekkomyślnemu krytykowi ostrą naganę, z gorączkowym pośpiechem bil zatwierdzili. Już dziś nosi on pewnie na sobie podpis królowej i trzyma prawomocnie nad głowami spiskowców miecz srogich kar. Bo za samo przechowywanie materyałów wybuchowych bez pozwolenia władz grozi winnym więzienie do 14 miesięcy; za używanie w celu zabójstwa — do 20. Naturalnie wypadki śmierci w zamachach tego rodzaju uważane będą za morderstwa. Nadto dozwolono kapitanom okrętu rewidować kufry podejrzanych podróżnych, co jest znacznem ograniczeniem wolności osobistej, ubezpieczonej przez zasadnicze prawo konstytucyi.

Czy uchwaliwszy ten bil, anglicy mogą zasnąć spokojnie? Wątpimy. Dziś już przez rządy, a nawet świeżo w odezwie cesarza Wilhelma uznany został fakt, że same ograniczenia i środki policyjne rewolucyi nie leczą, musi im przyjść w pomoc odpowiednia poprawa ustroju społecznego.

Jedna z gazet zagranicznych, mówiąc o spisku dynamitowym w Anglii, bardzo słusznie przypomniała słowa Schillera o „przekleństwie złego czynu." Przekleństwo to ciąży na Anglii w stosunkach z Irlandyą i ono to chłoszcze ją teraz nieszczęściami. Musi więc ona zmazać grzechy swego politycznego życia, naprawić krzywdy, a wtedy dopiero będzie mogła pomyśleć o spokojnem jutrze. Gdy cała

Irlandya dyszy zemstą, gdy Ameryka napełnia jej kieszenie pieniędzmi, potrzebnemi do wykonywania piekielnych planów, a każdy niemal okręt płynący do Anglii niesie ukryty ładunek dynamitu, sam bil niebezpieczeństwa nie zażegna. Działalność policyi w tego rodzaju wypadkach jest niewątpliwie skuteczną, ale ona nie wytropi wszystkich spiskowych truflów, nie wynajdzie wszystkich min i co najwyżej zdolna tylko ścieśnić swobodę zemsty. Zapewne Londyn w powietrze nie wyleci, ale dopóki bodaj najmniejsza mina będzie podłożona w Anglii, dopóty choroba nie ustąpi. Trzeba więc ją leczyć nietylko chirurgią, ale i terapią polityczną.

MONOPOL ASEKURACYJNY.

Jedynym regulatorem naszego życia ekonomicznego dziś jest zasada wolnej konkurencyi, w której ekonomiści liberalnych szkół rozmaitych odcieni, a nawet po części t. z. socyaliści katedrowi upatrują wyłączne lekarstwo na wszelkie choroby społeczne. Czy to powstaje w jakiejś prowincyi, wskutek zmowy handlarzy zbożowych, widmo głodu, czy podnosi się stopa procentowa, czy nastaje stagnacya w przemyśle, czy wreszcie zaczyna się epoka szalonej gry giełdowej i niepomiernego wzrostu dywidend — we wszystkich takich i tym podobnych, nawet wręcz przeciwnych sobie objawach, zwykli oni upatrywać brak wolnej konkurencyi i przypisywać mu wszystko złe. Lecz fakty innym przemówiły językiem. Obok istniejącej już linii kolei żelaznej np. z New-Yorku do Chicago nowa kompania buduje nową, równoległą; obok jednego towarzystwa asekuracyjnego powstaje drugie, trzecie, dziesiąte i wszystkie one operują na jednem terytoryum. Idea wolnej konkurencyi tryumfuje, ale czy na długo? Bynajmniej. Współzawodniczące kompanie wkrótce dochodzą do przekonania, że lepszy pokój niż wojna i zawierają ugodę, nakładając dowolny haracz na kieszenie publiczności. Jest to powszechny i naturalny wynik gospodarstwa kapitalistycznego, że, przy znacznym jego rozwoju, na miejscu wolnej konkurencyi staje monopol faktyczny zobowiązanych wzajemną umową wielkich przedsiębiorców.

Ugodę taką, którą zwykliśmy nazywać *zmową*, jeśli zawierają ją mali robotnicy, a dyplomatycznie *konwencyą*, gdy ją zawierają wielcy przemysłowcy, taką ugodę zawarły niedawno w Petersburgu rosyjskie towarzystwa asekuracyjne, podnosząc następnie wysokość premij do niesłychanych dawniej rozmiarów. W swoim czasie wystąpiła przeciwko niej rosyjska prasa, dziś podniósł tę kwestyę p. Bronisław Mayzel*), stając w obronie wolnej konkurencyi i dobra ogólnego. „Ktokolwiek—powiada autor — po roku 1870 baczniej obserwował bieg spraw asekuracyjnych, ten niezawodnie pamięta ówczesną „walkę towarzystw o byt," owe okólniki, cyrkularze, uproszone wzmianki w pismach, cały arsenał płatnych anonsów, głoszących o „niskich składkach," „dogodnych warunkach," „śpiesznej regulacyi strat..." owo powoływanie się zawsze na dobro powszechne itd. itd. Dziś wszystko to znikło, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej. P. B. M. zdumiony pyta: „jakie powody skłonić mogły towarzystwa do raptownej abnegacyi z uczuć egoizmu, miłości własnej i zawiści konkurencyjnej?" Szukając przyczyn odkrywa je w złem zrozumieniu przez akcyonaryuszów własnych korzyści i ciska im w oczy taką gożbę: „Niechaj nie zapominają rosyjskie towarzystwa ubezpieczeń, że każda *zmowa*, czy ona będzie zmową robotników, przemysłowców, czy asekuratorów wcześniej albo później pociągnąć musi szkodliwe następstwa zarówno dla *sprzymierzonych*, jak i ogólnego dobrobytu kraju..."

Spokojniej spojrzawszy na kwestyę, nie przyznamy bynajmniej towarzystwom tak szlachetnych przymiotów, jak „abnegacya z uczuć egoizmu i miłości własnej" i t. d. Przeciwnie, własny interes, a nie wymarzone „dobro publiczne" lub „miłość" stanowią pobudkę w ich działalności. Lecz za to uznamy je z chęcią za kompletne i zupełnie pełnoletnie w określaniu wszystkiego, co ich osobistych korzyści dotyczy. Inna sprawa, gdy idzie o dobro ogólne. Nie leży ono bynajmniej na sercu towarzystwom asekuracyjnym, owszem, jest nawet wręcz przeciwne ich interesom. Kapitalistyczna kompania, czy jednostka, jako uosobienie istniejących stosunków ekonomicznych, jest to worek bezdenny, którego nawet 40% dywidenda akcyonaryuszów cukrowni nie napełni i największe powodzenia nie nasycą; jej honor i pojęcie dobra powszechnego stoją zawsze w stosunku prostym do objętości własnych kieszeni i przez ten pryzmat się oceniają. Czterdziestoprocentowa dywidenda jednych spać nie daje innym i zmusza ich do użycia wszelkich środków, aby się podnieść do tych wyżyn, na których inni stanęli. Za środki takie uznały Towarzystwa wzajemną, solidarną ugodę czyli konwencyę i podniesienie wysokości premij asekuracyjnych, nie pytając bynajmniej, czy będzie to z ogólną korzyścią, czy też nie.

Jest to jedna z przyczyn podniesienia się premij, lecz nie jedyna. Obok niej istnieje inna, o którą już Towarzystw asek. oskarżać nie możemy, mianowicie — powszechnie zauważony fakt wzrastania liczby pożarów. Powtarzanie się jakiegoś zjawiska z pewną jednostajnością wskazuje istnienie stałych przyczyn. Jakież to przyczyny? Dewizą naszego gospodarstwa jest wytwarzanie jak najtańsze, które nie zawsze bywa jak najlepszem. Stąd skłonność do nieprzestrzegania przepisów ustawy budowlanej, do używania lichych i łatwo palnych materyałów, do nadmiernego ścieśniania zabudowań w jednem miejscu. Dość zwrócić uwagę na coraz częściej powtarzające się pożary teatrów, cyrków i innych miejsc publicznych, aby uznać słuszność słów powyższych. Jeśli do tego dodamy częste fakty podpalań umyślnych, wreszcie niski stan środków ratunkowych, jak: brak wody, tanie a zatem wadliwe i niedostateczne opatrzenie straży ogniowych, przyczyna wyjaśni się z łatwością. Przekonamy się, że *najtańsze* budowanie jest najtańszem tylko dla przedsiębiorcy, nie zaś dla ogółu.

Parte przez dwie te przyczyny, t. j. żądzę jak największej dywidendy i konieczność wypłacania coraz liczniejszych premij, towarzystwa korzystają z tego, aby usunąć z wzajemnych stosunków konkurencyę i wprowadzają *monopol*, monopol tem

---

*) *O konwencyi petersburskiej Towarzystw ubezpieczeń* działających na gruncie tutejszym, Warszawa, 1883.

---

¹)

Burza w zaciszu

przez

Swetozara Hurbana *).

Nauczyciel wiejski przechodzi często następującą kolej: z ławki szkolnej przeskakuje wprost na posadę. Zaledwie dusza poczęła się rozwijać a rozum myśleć samodzielnie, przyjmuje go jakiś zakątek na swoje łono, przykuwa do rozstrojonych organów i katedry pociętej scyzorykiem przez żaków. Cóż wtedy ma robić, o czem pomyśleć? Najprzód i przedewszystkiem o ożenku. Znajdzie się dziewczątko o policzkach rumianych, w pstrokatej sukience... Goły dach szkolnej chaty pokrywa wkrótce szczęśliwą parę. Lata biegną — dzieci się mnożą... Coraz bardziej rozstrajają się organy i zasycha dusza organisty; stopnie katedry przez częste wchodzenie i schodzenie wydeptały się w korytka — ile też razy stąpnęła na nie noga nauczyciela! Abecadło i tablice do pisania sprzykrzyły się staremu, wreszcie znudziło go wszystko a więc położył się w grób na spoczynek wieczny. Drogę przecież znał dobrze: nie jednego sąsiada odprowadzał tam swym śpiewem wrzaskliwym. Rodzina jego — stąd noga, stamtąd ręka, podług wyobrażeń arystokratycznych autochtonów wioski — wyniosła się z opuszczonego domku—Bóg wie dokąd! Wkrótce zniknie imię jego z dziedziny, w której tyle lat przeżył, przecierpiał!

Maciej Mraz uczy już od lat dziesięciu żwawą młodzież orzechowańską. Ojciec jego, również nauczyciel, zaprzysięgał w każdą sobotę, że raczej odda syna do szewca lub na posługi, niż na nauczyciela, a nawet, że mu prędzej oczy wykole, aniżeli da rózgę do ręki. A przecież kochany Maciuś został przy zdrowych oczach nauczycielem, choć dusza jego tęskniła za „czemś wyższem." Zapędził się mianowicie za teologią... już się myślą oglądał na brzegach Sali, w kraju filozofii i pióra! Ale ojciec umarł i pozostawił wdowę z córką bez sposobu do życia. Więc też karząca rózga nie ominęła wykształconego, lecz dziwacznego Macieja.

Po śmierci matki wydał siostrę za Marcina Kalinę, niedaleko mieszkającego kolegę. Trzydziestodwuletni mężczyzna naraz osamotniał. Do chatki jego wprowadził się wkrótce starokawalerski nieład. Teraz począł seryo myśleć o ożenieniu się, tem bardziej, że i członkowie zboru kościelnego napomykali często, iż pragnęliby dostać panią *rechtorową* *). Maciej Mraz zarzucił na plecy puszkę na rośliny i udał się przez pole i góry do młyna użlabińskiego. Tam go właśnie wysłały ciotki. Po drodze nazbierał mnóstwo owadów i motylów i przymocował swą zdobycz szpilkami do zielonego kapelusza.

W ogrodzie u młyna spotkał się z pyzatą Anusią... Ta wytrzeszczyła na niego oczy a potem parsknęła śmiechem głośnym, szczerym... Pan nauczyciel kręcił się dość zręcznie około pani matki, otyłej młynarki. A przecież pyzata Anusia ani słyszeć o nim chciała! „Czysty bzik," mówiła ze śmiechem, „jada chrabąszcze i glisty."

---

*) Svetozar Hurban (pseud. Vajansky) jest synem znakomitego pisarza słowackiego dra J. M. Hurbana, który i w życiu politycznem swego narodu niepoślednią odegrał rolę. Sam Svetozar, młody jeszcze człowiek, zajmuje się adwokaturą a jednocześnie uprawia niwę piśmienniczą w różnych kierunkach. Najudatniejszymi jednak utworami jego pióra są nowelle, w których z wielką prawdą i głębokiem uczuciem a stylem sobie właściwym, jędrnym i zwięzłym, maluje ducha i obyczaje swego ludu. Do tłomaczenia użyliśmy ślicznego przekładu czeskiego p. Franciszka Brožika.

S. Tomaszewski.

*) Rechtor u ewangelików słowackich znaczy tyle, co nauczyciel zarządzający szkołą, właściwie — starszy nauczyciel.

szkodliwszy, że w prywatnych rękach skupiony.

Jakże złemu zaradzić? zapyta czytelnik. Bez wątpienia nie pomogą ani sentymentalne utyskiwania na chciwość i nieuczciwość, ani groźba utraty klienteli, wytoczona przez p. B. M., ani nawoływania do honoru i pamiętania o dobrobycie kraju itd. Wszystko to dla kapitalisty jest rzeczą zupełnie obojętną, gdy w ręku jego spoczywa monopol. Monopol ten powinien być mu wydarty i złożony w ręce całego społeczeństwa, a środkiem ku temu może być wzajemne ubezpieczanie się, które poczęści złemu zaradzi. Mówimy *poczęści*, bo nie usunie ono przyczyn zwiększenia się liczby pożarów, mających gdzieindziej swe źródło, położy jednak kres wzbogacaniu się nielicznych jednostek ze szkodą ogółu i zainteresuje go w jaknajbardziej celowem prawodawstwie, dotyczącem budowli i pożarów. Ponieważ jednak ubezpieczenie takie może być dogodnem dla wszystkich i taniem wówczas tylko, gdy obejmie cały obszar kraju lub znaczną jego część, powinno być obowiązkowem dla każdego mieszkańca danego obszaru. W przeciwnym razie, zamiast jednego towarzystwa i jednostajnych premij, ujrzymy tworzące się grupy stowarzyszeń, obejmujące tylko osoby do klas zamożniejszych należące, z usunięciem i pozostawieniem uboższych losowi, jak to się działo i dzieje dotąd w petersburskiem Towarzystwie wzajemnego ubezpieczenia, w którem tylko $^1/_{10}$ część obywateli udział przyjmuje i korzysta z dobrodziejstw niskich premij. Podobne odróżnienie się bogatych i biednych będzie niechybnym skutkiem dobrowolnego wzajemnego ubezpieczania się i pociągnie za sobą to, iż biedna klasa będzie zmuszoną albo opłacać zbyt wysokie składki, albo zupełnie zrzec się ubezpieczania swego majątku. Wzajemne więc, lecz zarazem *obowiązkowe* ubezpieczenie jest formą, która przy dzisiejszych warunkach a nawet w odległej, dającej się przewidzieć przyszłości, jest dla ogółu najdogodniejszą i jedynie racyonalną. Zasady te uznane zostały zarówno przez wybitniejszych teoretyków, jak i przez prawodawców, którzy dziś jeszcze wahają się wprowadzić te reformy w życie ze względów praktycznych, lecz spodziewać się należy, że wkrótce na drogę tę stanowczo wejdą i monopol asekuracyjny z rąk prywatnych wycofają. Dla korzyści ogółu życzymy, aby to nastąpiło jaknajprędzej.

Pł.

NA RATUNEK LASOM.

Jeszcze w r. 1879 studenci Instytutu w Puławach powzięli trafną myśl uczczenia Kraszewskiego nie złotym pługiem, mającym stać na biurku jubilata, jak pierwotnie zamierzano, lecz zużytkowaniem zebranych pieniędzy na stałe wydawnictwo pożytecznych książek, których literatura nasza nie ma chyba za wiele. Puszczając pierwszą książkę, uprzedzili, że główną pobudką do podjęcia zbiorowego przekładu i wydawnictwa była chęć złożenia hołdu niestrudzonemu pracownikowi — własną pracą. Przetłomaczono i wydrukowano naprzód *Organizacyę gospodarstwa* Kraffta. Czas dowiódł, że obliczenia puławskich studentów nie były bezzasadne: dziełko to bowiem zostało niebawem rozkupione i wydawcy, rozporządzając znowu znacznym funduszem, użyli go na wydanie przetłomaczonej pracy p. Tucewicza *).

Reutsch utrzymuje, że dla zaspokojenia potrzeb ludności niezbędnem jest, ażeby czwarta część ogólnego obszaru gruntów była zadrzewioną. W Polsce prowadzone prawie powszechnie gospodarstwo rabunkowe doprowadziło już lasy do tego stanu, iż stanowią one zaledwie piątą część ogólnej powierzchni całego gruntu; w gubernii warszawskiej stosunek ten zmalał do $^1/_7$, w płockiej zaś — do $^1/_8$. Jednocześnie notujemy także fakt, że powierzchnia nieurządzonych lasów Królestwa przedstawia poważny ułamek 0,473 ogólnego obszaru lasów, nienależących do skarbu.

Przytoczone powyżej statystyczne dane są chyba dosyć wymowne, abyśmy zrozumieli naglącą potrzebę zaprowadzenia racyonalnego gospodarstwa w naszych lasach, a więc i wydania w języku polskim książki, traktującej o tym przedmiocie.

Czy *Podręcznik do urządzenia lasów* p. Tucewicza można zalecać właścicielom lasów tylko w braku lepszego; czy też ma on rzetelną wartość, która pozwoli mu dosyć długo odpowiadać potrzebom naszego kraju?

Główną jego zaletą jest praktyczność podawanych wskazówek, naukowy ich podkład, a wreszcie to, że autor przemawia do czytelników w sposób tak jasny, popularyzuje różne zasady urządzenia lasów tak przystępnie i możliwie ściśle, iż czytelnik nawet bez specyalnego wykształcenia może łatwo zrozumieć *korzyści* zaniechania rabunkowego gospodarstwa w lasach, jakie u nas, niestety, dotąd się prowadzi i zastąpienia go — racyonalniejszem.

Oprócz wielkiego talentu popularyzatorskiego i zebrania w jedną harmonijną całość zasad szacowania, użytkowania i odmładniania lasów, przyznać należy wiele racyi oryginalnej teoryi autora, opartej na rezultatach wielokrotnych spostrzeżeń, o zostawianiu w cięciach podwójnej ilości nasienników i odpowiedniem powiększaniu samych porębów. Rzecz prosta, że to mnoży możliwość rychlejszego i dokładniejszego obsiewu cięcia bez zastosowywania doń kosztownych upraw sztucznych.

Jedynym zarzutem chyba, jaki można zrobić autorowi jest to, że nie uwzględnił w swym *Podręczniku* cennej pracy dyrektora tarandskiej Akademii leśnej, Fryderyka Judejcha *O urządzeniu lasów*, która należy do najświeższych w dziedzinie leśnictwa.

Przekład dziełka jest dobry. Styl jasny, zwięzły; można tylko zarzucić wydawcom trochę niedbałą korektę i częste niepoprawności języka (np. wyrazy: *rozpołożenie* i t. p.)

Ostatecznie książkę tę śmiało można polecić wszystkim interesowanym, a szczególnie tym, którzy w prostocie ducha nie przypuszczają, by istniały jakiekolwiek metody *praktyczne*, pozwalające z lasów ciągnąć większe korzyści nad zaofiarowywane przez wiadomych małomiasteczkowych kapitalistów. Dla przekonania, że nawoływanie do racyonalniejszego prowadzenia gospodarstwa leśnego nie jest prostym wymysłem dziennikarskim, czczą gazeciarską blagą — powołam się raz jeszcze na statystykę. Na podstawie wyników badań Hundeshagena, który twierdzi, że rodzina, składająca się z 5 członków, zużywa

*) *Podręcznik do urządzenia lasów*, przełożyli z rosyjskiego studenci Instytutu rolniczo-leśnego w Puławach pod redakcyą profesora I. Krasuskiego.

Maciej zawrzał gniewem na całą płeć żeńską. Myśl jego była na to zbyt świeżą, aby nie miała znaleść jakiegoś zajęcia. Próżnia w sercu pobudziła do umiłowania przyrody. Przylgnął do niej, jak każdy człowiek myślący, skazany na życie w ustroniu wiejskiem. Polowanie nie odpowiadało jego miękkiemu charakterowi; puścił się tedy mimowoli na zbieranie roślin i owadów. Czynił to więcej z potrzeby serca, aniżeli ze względów naukowych, jakkolwiek pomału nagromadził wiele cennych wiadomości. Wiedział o każdej roślince, kiedy kwitnie i kiedy wydaje nasienie. A ta zabawa niewinna tak silnie zrosła się z jego czułem sercem, że wystawiła go na pośmiewisko — i przez nią dostał kosza! Rozgoryczyło go to bardzo. Maciej zaklął (zdarzało się to rzadko) a orzechowanie zostali bez pani rechtorowej. Minęło mu już trzydzieści sześć lat a przecież ani razu nie pomyślał, że na świecie istnieją kobiety. Czasem we śnie mignęła mu postać młodego dziewczęcia, które, będąc studentem, widywał na balkonie w ulicy ogródka, przechodzące tamtędy z książką w ręku. Słodka, tajemnicza tęsknota ogarniała go zawsze na widok bielejącego wdali kapelusza letniego o szerokich skrzydłach... lecz to już tak dawno, a sen, to bańka mydlana — wydmie się, zaświeci barwami, zabłyszczy złotem, zaszeleści—pęknie i spadnie mętną kropelką. Tą mętną kroplą była pyzata młynarzówna.

W ogródku szkolnym siedzi Maciej Mraz i pali fajkę na długim cybuchu. Lipy otaczające kościół zasypane kwiatem, tysiące pszczół brzęczy w rozłożystych konarach. Największa rozgałęziła się nad gontowym dachem kościółka tak, że go zakryła prawie do połowy. Czterograniasta wieża wystrzela po nad zielony baldachim pięknych drzew. Maciej się zadumał, nawet prawie posmutniał. Mimowoli przyszły mu na myśl pyszne marzenia młodocianego wieku: o jakże różną była rzeczywistość od tych powietrznych gmachów bujnej fantazyi!

Tajemnicza tęsknota za czemś wyższem coraz częściej ogarniała go, zapewne właśnie dla tego, że nie znając kłopotów życia rodzinnego, zachował świeżość ducha. Gdy umiał się ucieszyć ze znalezienia jakiejś rzadkiej odmiany trawy, dla czegóżby jego serce nie mogło zabić żywiej na wspomnienie pięknych snów młodzieńczych, z których żaden się nie spełnił?

Wolno puszczał nauczyciel niebieskawe obłoczki dymu z powiewem ciepłego i spokojnego wietrzyku.

Był to mężczyzna wzrostu średniego o rysach twarzy żywych i miał wielkie niebieskie oczy. Ciemny zarost okalał twarz, spaloną od słońca. Jeszcze żaden siwy włosek spostrzedz się nie dawał. Trzymał się prosto, śmiał rzadko a uchodził za człowieka surowego i zgryźliwego. Mieszkańcy wioski lubili go z powodu silnego głosu i ładnych wierszyków pogrzebowych, nad którymi się i „sąsiad z innej wsi rozpłakał.“

Koło ogrodu nauczyciela szła młoda panna z książką w ręku i błękitną parasolką pod pachą. Biały pies rechtora wybiegł pędem za wrota i rzucił się na nią, jak gdyby ją chciał połknąć razem z książką i parasolką.

— Pozor, leżeć — odezwał się silny głos Mraza, który wyjąwszy cybuch z fajki, groził nim swemu cerberowi. Ten, warcząc gniewnie, wczołgał się pod wrota.

Panienka zamknęła książkę i oparła się o parkan.

— Dobrze, żem pana spotkała, panie nauczycielu — przemówiła serdeczniej otworzyła parasolkę; słońce właśnie wysunęło się za obłoku i rzuciło gorące promienie na piękną młodocianą twarzyczkę—nasz fortepian zupełnie się rozstroił... już tydzień nie gram. Proszę pana, jako dobrego znawcę, o pomoc w mej biedzie. Dwa klawisze warczą silniej, aniżeli ten pański Pozor, a trzeci wcale nie odpowiada. Od miesiąca do miesiąca oczekuję na przyobiecany nowy fortepian, ale jakoś doczekać się nie mogę.

— Sądzę, żeś pani nie znalazła we mnie właściwego lekarza. Swój stary fortepian

rocznie 250 stóp sześciennych drzewa opałowego, użytkowego i budulcu, p. Bronisław Aleksandrowicz, wychowaniec Instytutu puławskiego, obliczył w sumiennej swej pracy *Obecny stan lasów i sadów Królestwa,* iż przeciętny przyrost roczny z morgi lasu powinien wystarczyć na roczne potrzeby jednego człowieka. Zestawiając ogólną przestrzeń lasów Królestwa z jego ludnością, znajdujemy następny stosunek: na każdego mieszkańca Królestwa wypada przeciętnie 0,6, a na mieszkańca gubernii warszawskiej zaledwie 0,3 morgi. Nieuniknioną więc jest rzeczą, że ludność nie może tu korzystać tylko z rocznego przyrostu, lecz musi stopniowo i bezpowrotnie wyniszczać zapas drzewny a tem samem znów zmniejszać i tak już zbyt małą ilość lasów. Kto się jednak nie poczuwa do żadnych obowiązków dla społeczeństwa, wśród którego wyrósł, tego może przekonają słowa p. Tucewicza, twierdzącego z zupełną słusznością, że *„osobisty interes* właściciela, mianowicie dążność do otrzymania najwyższego dochodu przy zachowaniu lasu, *skłoni go* do zastosowania przy eksploatacyi zasad naukowych, stanowiących rękojmię naturalnego odmłodnienia wyciętych przestrzeni.“ Oby słowa autora nie były głosem wołającego na puszczy w rozbudzeniu dobrego pojmowania—własnego interesu.

Przyswojenie naszej literaturze książki p. Tucewicza stanowi rzeczywistą dla niej przysługę. Tem sympatyczniej patrzymy na ten fakt, iż jest on wynikiem dojrzałego pojmowania potrzeb kraju przez studentów puławskich.

L.

BANK WŁOŚCIAŃSKI.

Od lat 50-ciu ludność kraju naszego znacznie się mnoży, konsumcya powiększa, liczba właścicieli ziemskich z każdym rokiem rośnie, inwentarz coraz liczniejszy, a plonu mało co przybywa, choć ilość rąk do pracy niemal się zdwoiła, wywózka zboża słabnie, powstrzymana taniością ziarna amerykańskiego: czyż sprawę tak ważną należy odkładać i wyczekiwać zgubnego dla nas przesilenia? Głośne były klęski głodowe we Francyi, znana jest kwestya zbożowa w Anglii, która na początku bieżącego wieku za gabinetu lorda Melbourne na nowo odżyła: wówczas to w Londynie lud obnosił w procesyi dwa bochenki chleba jednakowej ceny, z których jeden mały wypiekany był w kwitnącej Anglii, drugi ogromny — w Polsce. Otóż jeżeli gospodarka nasza pójdzie dotychczasową koleją, może niedługo w Warszawie obnosić będziemy również dwa bochenki chleba równej ceny: jeden mały, wypiekany u nas w kraju, kiedyś słynnym z obfitości plonu, i ogromny z Anglii, dokąd zboże okrętami zwożą.

Wszystko to niech będzie dla nas ostrzeżeniem i pobudką do prędkiego działania i nieopóźniania pomocy dla gospodarstw wiejskich, mianowicie mniejszych, do lepszej uprawy roli, zużytkowania w odłogu będących gruntów i zaprowadzenia porządków folwarcznych, słowem do zupełnej zmiany tradycyjnego systemu. Naturalnie, zmiana ta wymaga środków materyalnych. Chociaż znajdują się u nas w niektórych miejscowościach na prowincyi kasy pożyczkowe, lecz te bardzo małą usługę i to niewielkiej liczbie osób przynoszą, lub też zupełnie źle są administrowane i bynajmniej nie odpowiadają swemu zadaniu, zmuszając rolnika szukać pożyczki na zastawy lub sprzedaż zboża na pniu będącego*).

Zapobiegłby złemu jedynie kredyt stały, oparty na własności, pod postacią *Banku włościańskiego,* na podobnych warunkach, jaki już w Ks. Poznańskiem istnieje. Głównym twórcą tej instytucyi jest hr. Jan Działyński z Kórnika, któremu też należy się cała wdzięczność i zasługa: dał bowiem udział 300,000 marek, czem zachęcił i innych współobywateli do przystąpienia, i na zasadzie aktu notaryalnego (1872 r.) znalazło się razem 24 założycieli tej nowej a tak pożytecznej dla kraju instytucyi. Ustawa banku tego składa się z 32 paragrafów, z których dla wiadomości przytaczamy osnowę główną:

„Przedmiotem przedsiębiorstwa jest prowadzenie interesów bankowych i hipotecznych dla ułatwienia włościanom kredytu. Do zakresu działań banku należy mianowicie: a) pośredniczenie w zaciąganiu pożyczek hipotecznych na posiadłości włościańskie; b) nabywanie zapisów hipotecznych na gruntach włościańskich, przyjmowanie depozytów i udzielanie pożyczek; c) umarzanie długów hipotecznych. Kapitał zakładowy spółki wynosi pięćset tysięcy talarów podzielonych na pięć tysięcy akcyi po sto talarów, z których trzy tysiące wystawionych będzie na imię, dwa tysiące zaś na okaziciela itd.“

Oszczędności bank przyjmuje począwszy od jednej marki.

Jak zaś wielki jest rozwój tej instytucyi, poświadczyć nam może sprawozdanie za rok 1882, z którego się dowiadujemy, iż w ciągu lat 11 od swego założenia sumy obrotowe wynoszą około 20 milionów marek, a dywidenda ciągle wzrasta. Czyż więc nie jest to największym dowodem pożytku i potrzeby otworzenia u nas kredytu stałego, dla tych mianowicie właścicieli ziemskich, których lichwa prawie już do połowy mienia pozbawiła. Widzimy już nawet uprzedzające myśl naszą prace około podźwignienia drobnych posiadaczów ziemskich, gdyż na Żmudzi kilku właścicieli zamożniejszych założyć miało bank włościański, a obecnie w m. Kole gub. kaliskiej obywatele miejscowi również zadanie to podjęli.

Wobec tych faktów, czyż możemy obojętnie patrzyć na usiłowania tych, którzy nader ograniczone środki chętnie jednak składają, by służyć krajowi i współbraciom swoim: czyż nie znajdą się u nas podobni ludzie jak w Poznańskiem, gotowi nieść pomoc materyalną dla podniesienia z upadku rolnictwa tej części ziemian, których cała wina w tem leży, że ich dotąd nie nauczono lepiej myśleć i robić?

Aleksander Bossakiewicz.

*) Objaśniam tutaj, iż w wykonaniu Najwyższej woli, dozwalającej zakładać w Królestwie Polskiem banki włościańskie i na ten cel użyć procentów od kapitału, który na zasadzie ukazu z d. 22 maja 1860 r. z sum Tow. Kredyt. Ziemskiego na potrzeby użyteczności powszechnej wydzielono—ówczesny Komitet Urządzający decyzyą z d. 19 lipca 1868 roku postanowił: w każdym z 85 powiatów na pierwszy raz otworzyć po jednej kasie pożyczkowej, i sumę rs. 62,640 stanowiącą procent od rzeczonego kapitału, rozdzielić równo na każdy powiat. *Sbornik prawitelstwiennych rozpariażenii po uczreditelnomu komitetu,* tom 3—5.

---

to jeszcze od biedy nastroję, ale wątpię, żebym...“

— Proszę, *sans phrase* — przerwała nauczycielowi panna, jedynaczka właściciela dóbr orzechowańskich — ja panu pomogę, coś przecież zrobimy. Niedawno wieczorem przechodziłam z papą pod pańskiemi oknami. Pan grałeś na swem dziadowskiem brzękadle... Kto umie takie tony wydobywać z rozbitego klekotu, ten napewno da sobie radę i z moją skrzynią.

Dzieweczka roześmiała się śmiechem świeżym, serdecznym i podała przez parkan rękę nauczycielowi. Koronkowy rękaw zaczepił się na gałązkach żywego płotu i odkrył białe ramię, odbijające powabnie od zieleni. Maciej nieśmiało podsunął rękę dziewczynie, która nią silnie potrząsnęła.

— Chce sobie ze mnie zażartować — pomyślał i jakiś cień osiadł mu na twarzy.

Wogóle chętnie omijał dom orzechowańskich, których główna „rezydencya“ znajdowała się w Orzechowanach. Przedewszystkiem niepohamowana duma i próżność a powtóre bezmyślna pogarda, okazywana językowi słowackiemu, odstraszały człowieka skromnego, lecz wrażliwego, od domu patrona. On się także kiedyś uczył tej madziarszczyzny, ale w jego pamięci pozostały z niej tylko mizerne resztki. A madziarszczyzna u Orzechowańskich panowała wyłącznie. Nawet służbę domową sprowadzał pan Orzechowański z dolin a tylko przy dwóch osłach, trzymanych dla zabawki dzieciom, pozostawił chłopca słowackiego, jakby na pośmiewisko. „W mym domu nie wolno nikomu mówić po słowacku, tylko pastuchowi od osłów“ mawiał często.

Stało się jednak inaczej. Dzieci lubiły osły a przy nich i dzielnego chłopca! A chociaż słowaczczyzna była surowo zakazaną w domu pańskim, to przecież wszystkie dzieci, nie wyłączając nawet wesołej Hermy, nauczyły się lepiej od pastuszka po słowacku, aniżeli po madziarsku od przybyszów, brutalów i złodziejów, zmieniających się co chwila. Jedni uciekli z „górbe országu,“ *) drugich wypędzono za kradzież i inne przestępstwa.

Darmo.. powietrze słowackie jest czyste, przenikające a z niem wciska się wszędzie i mowa słowacka.

Herma Orzechowańska, przybywszy niedawno z miasta, gdzie ją „wychowywali,“ pozostała mimo lat 17-stu istnem dzieckiem. I rysy jej twarzy zdawały się jakby nieustalone, mało rozwinięte. Rozkoszna, białutka twarzyczka stanowiła czystą tabliczkę, na której życie miało dopiero wypisać swe głoski. Przed jej wielkiemi, siwemi oczami mienił się świat cały w wesołych barwach. Matka, z domu baronówna, łajała często córkę za swawole, w których brakowało szlacheckiego „contenance.“ W drobnych nieporozumieniach małżeńskich przypominała często mężowi wysokie swego baronskiego pochodzenia. Gdy do Orzechowańskiego przychodzili włościanie, natychmiast opuszczała pokój.

— Flakon — wołała na pokojówkę i wstrząsała się, wąchając wodę kolońską. *Ernö* — mawiała do dalekiego krewnego Ernesta Klennera, który całe lato spędzał u Orzechowańskich — mąż mój zchłopiał się całkiem. Na zimę musimy zamieszkać w mieście! Wytłomacz to Karolowi!

Karol Orzechowański nie sobie nie robił z tych tłomaczeń, miał bowiem do tego bardzo słuszną przyczynę. Majątek jego zaledwie zdołał pokryć wydatki życia wiejskiego. Procenty pochłaniały przeszło połowę dochodów, druga połowa nie starczyła na zaspokojenie kaprysów żony. W domu Orzechowańskich bawiła także ciotka Karola, Lydya Skalicka, wdowa po majorze, u której człowiek zaczynał się od porucznika. I do tej to rodziny zapraszała Herma naszego nauczyciela dla nastrojenia fortepianu.

Mraz ani obiecał, ani odmówił. Herma pochwaliła jego ogródek, przyrzekła kiedyś obejrzeć kwiatki i odeszła. Wysoka postać znikła za wierzbiną, wysadzoną wzdłuż potoku.

*) „Görbe ország“ — górska kraina; „görbe“—garbaty.

Z GALICYI.

Lwów, 10 kwietnia.

Widok z okna. — Wiwat Zacharyewicz! — Historya o dwóch przeciwnikach, pod jednym sztandarem walczących. — Opieka rządu. — Bataliony posiłkowe. — Postępek b. obrońcy swobód konstytucyjnych. — Wybory w Stanisławowie. — *Kuryer lwowski.* — Bliższe i dalsze stosunki pokrewieństwa. — Figarowskie zakusy. —Co to są sfery towarzyskie.— Orzeszek z dobrego serca.— Galerya mamek, karmiących noworodka. — Chciejmy wierzyć!...

O „żywsze tętna bicie“ nietrudno we Lwowie... Z mieszkania mego spoglądam właśnie na tłumy współobywateli, oblegających ratusz i wypełniających cały rynek. Niewyraźny jakiś szum dochodzi uszu moich przez otwarte okno a zdaje mi się, że to nietylko echo rozmów składa się na tę przytłumioną symfonię, przypominającą rozhowor boru z wiatrem, ale coś także jakoby wielkich i małych dzwonów granie. To serca tłumów tak biją, przejęte niecierpliwem oczekiwaniem.

Zdaje mi się, że szum wzrasta, ale wolnieje niebawem... Cisza zupełna. W tem:

— Wiwat!—huknął ktoś nagle pod bramą ratusza a równocześnie wiatr z taką siłą przymknął połowę mego okna, że *viribus unitis* tych dwu „wyższych“ potęg austryacki wasz ziomek wysadzony został z krzesła... Mniejsza jednak o mnie, myślę sobie z rezygnacyą, zbierając rozsypane kości po podłodze, ale gorsze to, że podobny memu los spotkał także kandydata, za którym tak gorąco agitowałem, że niewiele brakowało, abym znalazł się w pewnym gmachu przy ulicy Teatralnej, znanym przytułku dla wszystkich „inaczej myślących...“ Aż nadto słyszę przecież dobrze:

— Niech żyje Zacharyewicz! Wi-wat!!!

Niema już zatem wątpliwości—Romanowicz upadł. Zwycięstwo ważyło się do samego ostatka i przy zamknięciu głosowania nikt jeszcze nie był pewnym, który z kandydatów wyjdzie z urny wyborczej—tryumfalnym wieńcem ozdobiony. Okazało się jednak w końcu, że nacisk rządu i zabiegi wsteczników tudzież osobistych nieprzyjaciół p. Romanowicza przechyliły ostatecznie wagę na tę stronę, po której znajdowała się szala jego przeciwnika, ciągnięta na dół przez całą niemal prasę krajową. Drugiej szali uczepił się jeden, jedyny tylko — młodziutki *Kuryer lwowski*, o którym niżej, podczas gdy *Reforma* krakowska, której redaktorem jest sam p. R., starała się przypatrywać tylko zapasom wyborczym.

Nie myśl zaś czytelniku, żeby to była walka o zasady! Zarówno kierownik organu krakowskiej opozycyi, jak i mimowolny jego przeciwnik, profesor politechniki lwowskiej, do jednego i tego samego zaliczają się obozu. Obaj, wstępując do Rady państwa, zaciągną się pod sztandar mniejszości Koła, niekoniecznie wierzącej w „sprzyjanie rządu,“ niby w ewangielię, obaj są ludźmi wolnomyślnymi i po galicyjsku postępowymi, obaj wreszcie na pytanie, czy zginęła, odpowiedzieli zgodnie:

— Jeszcze nie!..

Powiadają, że właśnie powyższy frazes zabił Romanowicza. Tego tak popularnego w Galicyi hasła nadużywa p. R. rzeczywiście zanadto, posługuje się niem przy każdej sposobności bez najmniejszej potrzeby, zyskując wprawdzie za nie poklask, ale spowszedniając je równocześnie. Z tego tytułu wszakże ma on przeciwników niewielu w gorącym Lwowie, który pod względem patryotycznego „połnogłasja“ jest, jak wiadomo, zenitem krakowskiego nadiru. Nie możemy się też dlatego zgodzić z szczerem, czy nieszczerem twierdzeniem przeciwnych Romanowiczowi dzienników, jakby ta właśnie okoliczność, iż jest „frazesowiczem,“ jak go *Czas* nazwał, zgotowała mu upadek. Na zwycięstwo prof. Zacharyewicza złożyły się czynniki inne. Zbyt długo naprzód przebywał jego kontrkandydat we Lwowie i za wielki brał udział w sprawach publicznych, ażeby w przeciągu tego czasu nie zdołał sobie wyrobić nieprzyjaciół, którzy, gdy głosy ważyły się już tylko między dwoma kandydatami, wszyscy przeszli do obozu prof. Zacharyewicza. Drugi zastęp wojska przeciwnego stanowili osobiści przyjaciele profesora i cały świat wszelkiego rodzaju techników, którzy jakimś specyalnym technicznym patryotyzmem powodowani, postanowili przepchać koniecznie choćby jednego technika do Rady państwa. Przyszedł również w pomoc oddział p. n. „Łączność i Zgoda,“ który przy pierwszem głosowaniu upadł ze swym kandydatem dr. Gryzieckim. (Przy pierwszem głosowania żaden z kandydatów nie otrzymał większości, dziś zatem odbył się wybór ściślejszy).

Całe to atoli wojsko zbyt jeszcze było słabe, aby zapewnić zwycięstwo p. Zacharyewiczowi. Znalazł on jednak niespodziewanie sojusznika tam, gdzie go nie szukał wcale — w rządzie, który zdecydował się popierać każdego, jakiegokolwiek kandydata, byle tylko nie wszedł do Rady państwa nienawistny mu Romanowicz. Widocznie zakarbował on sobie w pamięci bardzo dobrze zeszłoroczną mowę sejmową w sprawie funduszu indemnizacyjnego i inne posła tego wystąpienia, uruchomił więc całą armię urzędniczą, od wiceprezydenta namiestnictwa począwszy, aż do ostatniego pisarza dziennego, która nie tylko głosowała, ale i szaloną rozwinęła agitacyę. Przeciw Romanowiczowi oświadczył się także prezydent Smolka, który nie bacząc na stanowisko swoje, z neutralnością jaknajściślej połączone, nadesłał kilka, do publicznego ogłoszenia przeznaczonych telegramów a polecających wyborcom kandydaturę Zacharyewicza. Gdy jeszcze dodamy, że policya konfiskowała plakaty, wzywające do głosowania za Romanowiczem, a niekonfiskowane zdzierała z murów, nie zdziwimy się wcale, że przy dzisiejszem głosowaniu zwyciężył kandydat (mimowoli) rządowy, aczkolwiek większością nader słabą, bo otrzymał zaledwie 155 głosów więcej (na 4,000).

Nie zbyt świetne to zwycięstwo! Ale i takiem nie byłby się pewnie mógł poszczycić dr. Biliński, jedyny pierwotnie poważny kontrkandydat Romanowicza. Przeczuł on widocznie możliwość upadku, wycofał więc zręcznie niewczesną swą kandydaturę ze Lwowa i zwyciężył w Stanisławowie, gdzie — jak w naszem mieście po Wolskim — opróżnione było krzesło po Kamińskim. Szanowny profesor wszechnicy lwowskiej (wykłada ekonomię społeczną) jest „także stańczykiem,“ ale że równocześnie posiada rozległą wiedzę, którą zyskał sobie uznanie i zagranicę, a ze sprawami krajowymi dobrze obeznany, czego złożył dowody w swej mowie kandydackiej, liberałowie stanisławowscy rozgrzeszyli się i oddali mu głosy swoje jednomyślnie, o tyle przynajmniej, o ile nie byli rusinami.

Tymczasem wieczór zapadał na calą okolicę. Pszczółki już nie brzęczały w koronach lip, a liśćmi drzew poruszał wietrzyk wieczorny.

— Panie rechtor! panie rechtor! — odezwał się głos wesoły, na pół dziecinny, u drzwi budynku szkolnego — strach idzie!

Furtka ogrodzona otwarła się szybko a do ogrodu wskoczyło młode dziewczę wiejskie. Długie jej warkocze zwieszały się na plecy. Małemi, bosemi nóżkami dreptała równo po piaskowej ścieżynce. Uklękła poufale obok Mraza i ukryła głowę na jego piersi.

Przed furtką stał dwudziestoletni prawie parobczak w białej płachcie a na głowie niósł dynię, z której środek poprzednio wybrał. Dwie dziury miały wyobrażać oczy a cięcie podłużne, nos. W oczach i nosie migotał płomień zapalonej świecy.

— Poczekaj, dam ja ci strachy Janku — zawołał nauczyciel, podnosząc dziewczę. Żadnych mi głupstw ze światłem. A ty Marysiu, mniej rozum! Jużeś przecie nie szkolarka!

Janko Olsza, zmięszany obecnością nauczyciela, zdjął prędko z głowy dynię a zgasiwszy świecę, odbiegł spiesznie.

Marysia naprawdę już wyrosła ze szkoły. Ojciec jej, zakrystyan, przy całem swem ubóstwie, dogadzał jej, jak mógł i umiał, a nawet starał się całemi siłami, aby się więcej nauczyła i nie tak ciężko pracowała, jak reszta wiejskiej młodzieży. Adam Bohunka, tak się nazywał zakrystyan, nie należał do najdawniejszych mieszkańców orzechowańskich. Zakrystyanem został tylko dla tego, że będąc z rzemiosła krawcem, nosił krótką kapotę z ołowianymi guzikami, co lepiej wyglądało przy chodzeniu po kościele z dzwonkiem i gaszeniu świec na ołtarzu, aniżeli szeroka sukmana, albo ciężki kożuch.

Pan nauczyciel po szczęśliwem odparciu najścia młodego parobka siadł znów na ławce, z której go poruszyła scena tak niespodziana... i umilkł. Marysia oglądała kwiatki, schylając się przy każdym. Bujne kędziory spadały w rezedę i maczały się w rosie.

— To gałązka rozmarynu; ach, jakże pachnie ten muszkat;... a to wspaniała trawa! Miałby z niej Janko kapelusz! Ale nie dostanie, nastraszył mnie.

W ten sposób szczebiotało młode dziewczę, skacząc po ścieżkach.

Na staniku, wyszywanym czerwoną bawełną, błyszczał szereg okrągłych białych guziczków. Mała chusteczka nie zakrywała całkiem ramion opalonych. Nauczycielowi przypomniało się mimowoli ramię Hermy. Było ono bielsze, pełniejsze i kształtniejsze. Skądże to dziwne porównanie? Jak sobie wytłomaczyć, że mu coś podobnego przyszło do głowy?

— Zaśpiewaj Marysiu — rzekł i oparł głowę na dłoniach. Marysia uradowana przeskoczyła zagon i siadła na ławeczce.

— Nowiutką, nowiusieńką zaśpiewam wam, ale tylko po cichutku — rzekła a za chwilę odezwała się monotonna pieśń przed domkiem nauczyciela.

Była to ballada o utopionej dziewczynie. Dźwięki dobywały się z czystej, młodej piersi Marysi z tajoną siłą, jasne i dźwięczne.

— Ja śpiewam a wy śpicie — rzekła nakoniec tonem urazy.

Mraz wstrząsnął się.

— Nie śpię, ale jest to smutna pieśń. Skąd ją wzięłaś?

— Jeszcze nie koniec — rzekło dziewczę i chciało śpiewać dalej.

— Idź do domu Marysiu — zamruczał nauczyciel w roztargnieniu i powstał.

Dziewczę przy odejściu chciało go pocałować w rękę, lecz na to nie pozwolił.

Długo były otwarte okna jego pokoju. Woń lip zalatywała do skromnego mieszkanka. Człowiek zapomniany, zapomniany, zawiedziony nie mógł długo zasnąć. Jakiż to dziwny dzień był dzisiejszy!

(D. c. n.)

Wspomniałem, że kandydaturę Romanowicza popierał jedynie *Kuryer lwowski*. Jest to pisemko, przypominające wszystkich trzech swoich nadwiślańskich kolegów: przekonaniami — *codziennego*, rozmiarami — *warszawskiego*, a dobą pojawiania się na świat — *porannego*. Robi także konkurencyę *świątecznemu*, wycinając z niego dowcipniejsze sztuczki. Gdyby zaś nie zapewnienie w prospekcie, że występować będzie „w obronie uciśnionych,“ możnaby przypuszczać, iż przysiągł psuć interes *Czasowi* albo waszemu *Słowu*. Można w nim przynajmniej czytać codziennie (także w święta i niedziele: „Dajemy o 63 numerów rocznie więcej, niż inne dzienniki!!!“) w stałej rubryce p. t. „Z życia towarzyskiego“ takie np. zajmujące doniesienia: „W kołach dobrze poinformowanych zapowiadają na przyszły miesiąc ślub bar. X. z hrabianką Y“ albo „Księżna A. powiła księżniczkę B. Dziecina przypomina zupełnie papę (niezwykłe! Przyp. koresp. a nie *Kuryera*). Na rodziców chrzestnych zaproszono itd.“ Można także znaleźć i takie rzeczy: „Upadek obyczajów. W Paryżu rozgałęzia się coraz bardziej nowy rodzaj przemysłu. Okropność! Na spinkach pojawiają się wyobrażenia księży w pozach, nielicujących wcale z ich kapłańską powagą. Gdzież są granice dzikości ludzkiej?...“

Nie ze złego serca wystawiam próbki powyższe pod pręgierz. Bynajmniej. Szczerze życzę młodemu pismu powodzenia a jeżeli pozwalam sobie zwracać jego uwagę na tory, po których najniepotrzebniej się wałęsa, to czynię to w interesie zarówno samego wydawnictwa, jak i czytelników, którzy z prospektu sądząc, nie spodziewali się znaleźć tego rodzaju strawy, jak powyższa. Razi ona tem więcej, że nie przystaje do całości, owianej wolnomyślnością, głoszącej równość towarzyską i w obronie postępu wojującej.

Redakcyę *Kuryera* składają pp. L. Masłowski, tłomacz Darwina na język polski, Włodzimierz Zagórski, znany pod pseudoninem *Chochlika* satyryk, i warszawiak Edward Przewóski, publicysta, pracujący przeważnie w dziale ekonomicznym. Nazwiska te dają nam rękojmię, że pismo, duchową ich własnością będące, oswobodzi się od szkodliwych wpływów, unikać będzie zboczeń i spełni bodaj to, co zapowiedziało w prospekcie. Chcemy też przypuszczać, że tego rodzaju, jak powyżej przytoczone, notowanie kursów moralności publicznej, wkradło się do *Kuryera* tylko przypadkiem, tak jak rozumienie pod „sferami towarzyskiemi“ jedynie świata arystokratycznego kładziemy na karb „przyczyn, od redakcyi niezależnych...“ Trzeba wiedzieć, że i u nas są ludzie, którzy nie mogą pojąć, że zwykły śmiertelnik *ist auch ein Mensch*...

Rewera.

Malarstwo polskie.

(Horowitz).

Kiedy jakiś młody malarz zwierzał się w kole artystow, że ma już na dokończeniu obraz z czasów rzymskich, tylko mu jeszcze brak kilku plamek światła czy cienia na twarzy Nerona, Courbet, ten wielki rewolucyonista w konwencyonalnym aż dotąd świecie koloru, rysunku i kompozycyi, spytał go z całą swoją chłopską rubasznością, czy umiałby też tak dobrze namalować portret swojego ojca, jak Nerona? Malarz ów nic nie odpowiedział, gdyż odpowiedzieć przecząco nie chciał, a twierdząco nie mógł. Inaczej byłby sobie postąpił p. Horowitz, który, naprawdę, lepiej maluje portrety ojców, matek, braci, sióstr, dzieci, krewnych, bliższych i dalszych znajomych, aniżeli Nerona, choćby tylko dlatego, że Nerona nie maluje wcale, a w malowaniu tamtych doszedł do wielkiej biegłości. Lecz to wirtuoz pędzla i ołówka, który nietylko rodziców i dzieci, ale nawet kochanków najbardziej zakochanych uchwyceniem podobizny rysów zadowolić byłby w stanie. Lecz cóż z tego, kiedy jego portrety nie są obrazami. Brak im życia, energii, charakteru, malowniczości. Głowy są odrobione za powierzchownie, ręce w stosunku do głów za drobiazgowo, a biusty za niedbale.

Co prawda, nie jest to rzeczą łatwą być energicznym i charakterystycznym w rysunku, a malowniczym w kolorze, kiedy się ma do czynienia z klientelą arystokratyczną, która, jako model, jako typ, nie przedstawia ani życia, ani energii, ani charakterystyczności, a jako sędzia, wydający wyrok w ostatniej instancyi, ponieważ płaci za swoje portrety gotówką, nigdyby się nie zgodziła na malowniczość inną, jak konwencyonalną. Ale przed p. Horowitzem byli portreciści, którym życia, charakteru, malowniczości odmówić w żaden sposób nie można, jakkolwiek malowali ludzi, również jak p. Horowitz, w czarnem ubraniu, w czarnych koronkach, z odkrytemi głowami, bez płaszczów purpurowych, bez złota i pereł na szyi. Do takich należał Van Dyck w XVII wieku, jeżeli tylko o samych mistrzów pierwszej wody chodzi, a Rodakowski za naszych czasów, jeżeli mamy przykładów szukać pomiędzy malarzami żyjącymi. Kiedy jednak wszyscy wielcy portreciści wszystkich czasów byli przedewszystkiem malarzami z temperamentu, artystami, czującymi naturę i szukającymi w niej stron charakterystycznych, p. Horowitz jest tylko portrecistą z profesyi, malarzem, który znalazłszy podobieństwo materyalne rysów o inne zalety płótna już się nie troszczy, a wszelkiej charakterystyczności i malowniczości starannie unika. A przytem ponieważ jest jednostajnym w kompozycyi, co dziwnie dobrze licuje z jego rysunkiem nieśmiałym i kolorem zawsze różowawo-szarym, nic więc dziwnego zatem, że publiczność ludzi urodzonych i wychowanych w konwenansach i opinie krytyków jednomyślnie prześladujących każdy żywszy objaw temperamentu, przyznały mu tytuł pierwszego portrecisty w Polsce.

Bez zaprzeczenia jego portrety są przedziwnie, przecudnie, zdumiewająco podobne; lecz po za tem nic, albo, przez grzeczność, bardzo niewiele. Mniejsza już o życie, o śmiałość, o charakterystyczność w rysunku, skoro p. Horowitz bez tych wielkich zalet duszy prawdziwie artystycznej jest w stanie przelać kształty natury na płótno w sposób nieobrażający smaku jednych, a zupełnie wystarczający dla smaku drugich. Ależ w jego portretach głowy nie mają najmniejszej wypukłości, nie są bryłowate, nie wychodzą z tła. Namalowane zimno, sucho, z wymuszoną starannością, z myślą o wywołanie *efektu przyjemnego* tonem różowawym, grzeszą w kolorze temi samemi wadami, co i w rysunku: bezcharakternością, którą p. H. osiąga, prawdopodobnie z pewnym nawet trudem, przez *wyładnianie* natury.

„Natura—mówił jeden z profesorów malarstwa w szkole francuskiej—jest za *zieloną* (!), i dlatego to radzę wam, moi uczniowie kochani, abyście do waszych krajobrazów używali dużo niebieskich i żółtych odcieni, które tak przyjemnie na oko działają.“ Dla p. Horowitza natura widać jest zanadto ostrą w kształtach i zanadto krzykliwą w kolorze i dlatego przedstawia ją w kształtach jednostajnie okrągłych, albo lepiej jeszcze, prawdziwie zaokrąglonych, i w jednym, jedynym tonie różowym, który niejest usprawiedliwiony ani sztucznem, ani naturalnem oświetleniem i nie ma najmniejszej racyi bytu, skoro p. H. najzupełniej bez światła się obywa. A przytem co za jednostajność kompozycyi! Osoby, w pozach filistersko-poważnych, nudnie szlachetnych, wymuszenie skromnych, urzędowo eleganckich, świątecznie wyszukanych, arystokratycznie sztywnych, wymuskane, wypomadowane bez pomady, wysznurowane bez sznurówek, patrzą przed siebie oczami szklannemi bez życia, bez ognia, bez blasków światła w źrenicach, pysznią się tylko rękami, rękami rysowanemi prześlicznie, śmiało i energicznie, rękami malowanemi, jeżeli nie barwnie, to przynajmniej dekoracyjnie. Szkoda tylko, że piękne te ręce wypadają zawsze w tem miejscu płótna, które p. Horowitz traktuje „aby zbyć,“ i zwracają oko widza na najsłabszą stronę jego portretów: biusty w tużurkach, biusty w jedwabiach, biusty w kaszmirach, które nie są biustami, tak samo jak sukno tużurków nie jest suknem, jak jedwabie nie są jedwabiami, kaszmiry kaszmirami. A jak dalece p. Horowitz nie dba o ciało człowieka, to najlepiej to widzieć można *w portrecie księżnej S*... na Wystawie Zachęty Sztuk Pięknych, gdzie pod lekką zasłoną koronek, które *dżetom* przebić się pozwalają niebieskawym blaskiem, niepodobna dopatrzyć się nietylko bryłowatości, ale nawet rysunku ramienia, łokcia i przedramienia, jakkolwiek ramię, łokieć i przedramię czuć doskonale nie tylko pod koronką, ale pod kożuchem, pod chłopskim kożuchem baranim. Wszystko to jednak razem nie przeszkadza p. Horowitzowi być pierwszym portrecistą, i przez to samo już, że jest portrecistą, malować naturę, naturę rzeczywistą, bez żadnego uwzględnienia natury po za podobizną materyalną.

Antoni Sygietyński.

ODWOŁANIE ZASŁUG ISLAMIZMU.

Dotąd historya przyznawała panowaniu arabów wielki wpływ na losy i postęp cywilizacyi. Słynny lingwista francuski E. Renan wystąpił przed kilku dniami w Sorbonie z odczytem (wiedza i islamizm), w którym usiłował zetrzeć tę omyłkę dziejopisarską. Ciekawe są, choć dla nas tylko w streszczeniu możliwe wywody znakomitego uczonego.

Rzeczywiście — powiada on — przez dwa stulecia arabowie byli naszymi mistrzami, lecz tylko tymczasowo, dopóki nie poznaliśmy oryginałów greckich. Ich wiedza bowiem i filozofia były nędznem tłomaczeniem nauki i filozofii helenów. Przedewszystkiem Renan uwydatnił rzeczywistą niższość krajów muzułmańskich upadek i państw, w których panuje religia mahometańska. Do umysłu prawowiernego jej wyznawców wiedza nie ma żadnego dostępu, niezdolny on jest do przyswojenia sobie nowych idej. Muzułmanin, przekonany, że Bóg pierwszego lepszego obdarza majątkiem i władzą, bez względu na wykształcenie i osobiste zasługi, czuje najgłębszą pogardę dla wiedzy i dla wszystkich czynników kultury europejskiej.

Czemże więc wytłomaczyć fakt, że od r. 775 przez 500 lat blisko kraje muzułmańskie posiadały mędrców i wybitnych myślicieli, że podczas tego przeciągu czasu świat mahometański był wyższym od chrześciańskiego? Islamizm bowiem naówczas nie panował jeszcze wszechwładnie. Otóż ten wielki ruch, wskutek którego cywilizacya grecka przeniosła się do Europy, powstał nie przez islamizm, lecz pomimo niego. Według Renana rasa arabska nie odegrała ważnej roli. Rzeczywiście wśród filozofów i uczonych, niby arabów, jedyny Alkindi pochodzi istotnie z tej rasy.

Wszyscy inni są to bądź persowie, hiszpanie, mieszkańcy Buhary, Samarkandy, Kordowy lub Sewilli. Ludzie ci nietylko nie są arabami z pochodzenia, ale nawet pod względem umysłowym nie mają z nimi nic wspólnego. Używają wprawdzie języka arabskiego, lecz krępuje on ich tak, jak łacina krępowała myślicieli wieków średnich.

Jeżeli ruchu tego nie spowodowali arabowie, nie byli też bynajmniej jego przyczyną muzułmanie. Jest on jedynie dziełem persów, chrześcian, żydów oraz... muzułmanów, zbuntowanych przeciw własnej religii. Prawowierni rzucali nań tylko przekleństwa, a ci, którzy oddawali się nauce, nazywani byli *zeudiks* (niewierni), obijano ich na ulicy, podpalano im domy, często nawet władza dla przypodobania się tłumowi skazywała ich na śmierć.

Przez pierwszą połowę wieków średnich, islamizm znosił jeszcze filozofię, a głównie dla tego, że nie był dość potężny, aby rozwijaniu się jej przeszkodzić. Sekty trawiły go bezustannie, a siłę jego łagodził rodzaj protestantyzmu, zwany motazelizmem. Lecz z czasem wiara się wzmogła, pokonała wszystkie przeszkody i nastąpiło wszechwładne panowanie przymusu i kar cielesnych dla tych, którzy się wyłamywali z pod praktyk religijnych. Od roku 1275 tedy świat muzułmański zaczyna się chylić do najsmutniejszego upadku umysłowego. Islamizm w pełnym tryumfie gnębi znaczne obszary globu i tłumi wszelką wolność umysłową.

Jednakże Renan zrobił zastrzeżenie co do bezwzględnego potępienia islamizmu. „Daleki jestem, mówił, od naigrawania się z symbolów, w których sumienie ludzkie szukało spokoju. Islamizm, jako religia, ma swoje piękne strony; muszę przyznać, żem nigdy nie wchodził do meczetu bez żywego wzruszenia, bez żalu, że nie jestem muzułmaninem. Dla rozumu jednak był on stanowczo szkodliwym.“

Dzisiaj, od wieków już, wygasło w świecie muzułmańskim poczucie dla nauki, znikł wszelki ruch umysłowy. Islamizm, zabijając naukę, zabił samego siebie, skazał się na zupełną niższość. Wyznawcę tej religii charakteryzuje przekonanie, że wszelkie poszukiwania są płoche, niepotrzebne, prawie bezbożne; bezbożną jest nauka o przyrodzie, albowiem współzawodniczy z Bogiem; bezbożną nauka historyi, gdyż odnosząc się do czasów wcześniejszych niż islamizm, mogłaby wskrzesić dawne błędy. Stąd też wynika, że próżniactwo umysłowe, obojętność stają się cnotami. *Allah aalam* „Bóg wie lepiej, co to jest,“ stanowi ostatnie słowo wszelkiej dyskusyi muzułmańskiej.

Renan zakończył odczyt naukowem wyznaniem swej wiary. Celem społeczeństwa ludzkiego nie jest odpoczynek w nieświadomości pełnej rezygnacyi, jest nim wojna nieubłagana przeciw fałszowi, walka ze złem, t. j. bezustanne poszukiwanie, nauka. „Wiedza—mówił—jest duszą społeczeństwa, bo wiedza, to rozum. Ona wytwarza wyższość militarną i przemysłową. Ona stworzy kiedyś stan społeczeństwa, w którym suma sprawiedliwości odpowiadać będzie istocie wszechświata (?) Wiedza robi siłę sługą rozumu. W Azyi istnieją żywioły barbarzyńskie, takie jak te, z których się składały pierwsze armie muzułmańskie i owe wielkie zastępy Atylli i Dżengis-hana. Lecz wiedza zagradza im drogę. Gdyby Omar i Dżengis-han spotkali na drodze swej dobrą artyleryę, nie byliby nigdy przekroczyli granic swej pustyni. Jakże silnie powstawano z początku na broń palną, która przecież nie mało przyczyniła się do zwycięstwa cywilizacyi. Mam to przekonanie, że wiedza jest dobrą, że tylko ona jest w stanie dostarczyć broni przeciw złemu, które sama wytworzyć może, że ostatecznym jej rezultatem będzie jedynie postęp, ów postęp prawdziwy, nieodłączny od poszanowania człowieczeństwa i wolności.“

Biedny islam! Dziś stracił racyę bytu i jeszcze odwołano jego zasługi w przeszłości! Gdy politycy go duszą, uczeni przekreślają jego chwałę w dziejach!

B. N.

Obłęd religijny.

II.

Stan teomanii podlega częstym przywidzeniom.

Otoczony niebiańskiemi wizyami chory spostrzega otwarte niebo; światło boskie otacza go swymi promieniami, a gdy duchy piekielne go opuszczą, cisną się do niego aniołowie.

W halucynacyach słuchu otrzymuje on różne objawienia, proroctwa i rozkazy. Dotknięty szaleństwem nie ogranicza się na słowach, lecz przechodzi do czynu. Okrucieństwo jego skierowywa się często ku własnej osobie.

Jeden z fanatycznych bretońskich wieśniaków, nasłuchawszy się przez czas jakiś kazań, nakłaniających do nawracania, porzucił swą rodzinę oraz zajęcia i zaczął prowadzić życie tułacze. Pewnego wieczoru przychodzi do domu, gdzie zebrało się liczne towarzystwo; przywitawszy się z niem, wymownie opowiadać zaczyna o cierpieniach, jakie dobrowolnie zadaje sobie dla miłości Boga, czem wyciska łzy z oczu słuchaczów, a wtem nagle wykrzykuje: „Jezus objawił mi się i powiedział: Dałem całe ciało moje na ofiarę dla ciebie, ty poświęć dla mnie swoją lewą rękę.“ Przy tych słowach obnaża z pod płaszcza rękę, owiniętą w skrwawione bandaże, zdziera je i pokazuje przerażonemu i zdziwionemu zgromadzeniu kość zbroczoną. W rzeczy samej uciął on sobie rękę i gdyby nie spieszna pomoc lekarska, opłaciłby śmiercią swoje posłuszeństwo boskiemu rozkazowi.

Szaleńcy religijni skazują się niekiedy na straszne cierpienia. Mając obfity repertoar mąk do wyboru, oddają zwykle pierwszeństwo krzyżowaniu. Przyjmują oni w tym razie niekiedy rolę czynną, niekiedy zaś bierną. Niektórzy przybijają gwoździami do krzyża własne swoje dzieci, inni krzyżują sami siebie. Bywały przykłady, że waryat, wbiwszy prawą ręką gwoździe w nogi i w rękę lewą, z nadzwyczajną zręcznością znalazł jakiś szczególny sposób przygwożdżenia swej ręki prawej i tym sposobem rozpiął się na krzyżu (?). Przykłady samobójstw i zabójstw nie są pomiędzy nimi rzadkością.

Pewien wieśniak niemiecki chciał odnowić ofiarę Abrahama na osobie jedynego swego syna. Rzecz dziwna, że czternastoletni ów chłopiec zgodził się na to i został zamordowany przez własnego ojca.

Pewna matka, zbudzona w nocy przez niebiańskie zjawisko, ujrzała anioła, który rozkazał jej posłać do nieba półtoraroczną córeczkę. Wstawszy więc, włożyła dziecku na głowę wieniec z białych kwiatów, wzięła nóż i poderżnęła mu gardło.

Jeden z chorych, zamkniętych oddawna w szpitalu waryatów, uznawał się w posiadaniu nadzwyczajnego daru rozpoznawania ludzi, będących w stanie łaski. Spotkawszy takiego szczęśliwca, odczuwał chęć posłania go natychmiast do raju. Przemawiał więc do niego życzliwym głosem: „Zbliż się, niech cię zabiję.“ Gdy pewnego razu posługacz szpitala zbliżył się do niego nieostrożnie, uderzył go tak silnie cynowym imbrykiem w głowę, że strzaskał mu czaszkę, w skutek czego biedak w kilka godzin wyzionął ducha.

Między objawami tego rodzaju szaleństw umieścić należy również skłonność do podpalania.

Widzimy więc, że cierpiący na obłęd religijny prawie zawsze są niebezpieczni, zwłaszcza zaś wtedy, gdy miewają halucynacye. Pożytecznie więc jest ich zamykać. Niewielu z pośród nich pozostaje nieszkodliwymi do końca życia, nigdy jednak nie należy im ufać.

Jako przykład szaleńca nieszkodliwego, dr. Ball przytacza młodego urzędnika, który po 26 rok życia nie okazywał żadnych skłonności do mistycyzmu. Był wierzącym, ale nie wykonywał praktyk religijnych. Nagle stał się dziwnym, nieswoim. Do regularnego dotąd życia jego wkradł się nieład. W niedzielę, poprzedzającą jego aresztowanie, poszedł do biura, sądząc, że to sobota. W następny poniedziałek popełnił w biurze mnóstwo niedorzeczności; zaprosił swych kolegów, aby się udali z nim do kościoła św. Wincentego a Paulo i jednocześnie naznaczył inne spotkanie w kościele P. Maryi. Chciał obrać sobie mieszkanie przy wielkim ołtarzu w kościele P. Maryi; klękał, bił czołem o ziemię, leżał krzyżem, całował stopy ołtarza. W halucynacyach swych odbierał zlecenia boskie i na rozkaz Boga śpiewał pieśni, niestety, wcale niebudujące. Gdy go zaaresztowano, jako posłuszny sługa boży, spokojnie udał się do domu waryatów.

W swem życiu szczęśliwem, opromienionem nadziemskiemi zjawiskami, wybrani we wszystkich powątpiewających o ich boskiem posłannictwie widzą tylko popleczników szatana i sług jego, lecz zdarza się im niekiedy podlegać gwałtownym napadom zwątpienia i rozpaczy. Bóg ich porzuca, dyabeł kusi. Czują oni głęboko, że nie są godni łask bożych i uważają się za niezdolnych do spełnienia posłannictwa, jakie im Opatrzność powierzyła. Podwajają więc gorliwość, modlitwy, umartwienia. I wkrótce otrzymują pożądane rezultaty. Wielu mistyków, pozbawionych chwilowo swych niebiańskich widzeń, odnowiło halucynacye, oddając się postom, nadzwyczajnej wstrzemięźliwości, egzaltacyom.

Szaleństwo religijne trwa niekiedy bardzo długo, po pewnym jednak czasie stopień natężenia zmniejsza się, zdrowie wraca, umysł wypoczywa i wkrótce następuje spokojna rezygnacya — w przekonaniu obłąkanego — czas próby i doświadczeń. Męczeństwo jednak przyniesie pożądane owoce; oczekiwana chwila nadejdzie i posłańcy Boga z tryumfem wyjdą z więzienia, gdzie ich zamknięto.

W oczekiwaniu tej chwili żyją oni w zgodzie z towarzyszami i dozorcami. Zawsze jednak są niebezpieczni i należy ich strzedz pilnie.

Zupełne wyleczenie zdarza się bardzo rzadko i to nam wyjaśnia, dlaczego tylu heretyków, uznawszy raz swoje błędy, na nowo powracało do dawnych swych przekonań, za co kościół oddawał ich pod sąd inkwizycyi.

Byli to po największej części chorzy, którzy, popadłszy przez pewien czas w szaleństwo i odzyskawszy chwilowo przytomność umysłu, powrócili do dawnego stanu i zostali ukarani z całą surowością prawa.

Szaleństwo waryatów, którzy, zamiast stosunku z istotami niebieskiemi, mają do czynienia z mocami piekielnemi, mniej groźnych dla bezpieczeństwa publicznego dostarcza wypadków. Własne ich za to losy przedstawiają wiele dramatycznego pierwiastku.

Zamiast raju zjawia się piekło; po uniesieniach zachwytu — rozpacz, po cudownych zjawiskach, przenoszących halucynującego do siódmego nieba — potworne widma, męki piekielne, w wyobraźni wprawdzie, ale tem niemniej są to męki, gdyż, jak mówi Milton, „duch ma własne

swe mieszkanie, może on sobie stworzyć piekło w niebie i raj w piekle.“

Szaleńcy religijni formy depresywnej dzielą się na trzy kategorye: potępieńców, czarowników i opętanych. Przyczyna obłędu często bywa powierzchownie błahą. Jest nią niekiedy jedno przypadkiem usłyszane słowo, niekiedy budujące czytania, dążące do obudzenia mistycznego postrachu, a tak silnie działające na umysły słabe; kazania gwałtowne, wyrzuty sumienia po popełnionym grzechu wyimaginowanym lub rzeczywistym.

Godnem jest uwagi, że mania potępienia zdarza się częściej u protestantów, niż u katolików. Przyczynia się do tego nauka o przeznaczeniu, która zamiast uspakajać swych wyznawców oddziaływa w sposób szkodliwy na umysły słabe. Nadzwyczajna bojaźń popełnienia grzechu równie często sprowadza obłąkanie. Jeden z protestantów opowiada, jak uważał się przez pewien czas za potępionego z powodu, że słuchał dźwięku dzwonów, że grał w kręgle i popełniał inne podobnego rodzaju grzechy. Pewien zakrystyan, po przyjęciu raz komunii w stanie grzechu, obawiał się, że stracił serce i został potępionym, gdyż raz pozbawiony serca, nie mógł już żałować za grzechy. Bywały wypadki, że szaleństwo tego rodzaju doprowadzało do zabójstwa. Pewien obłąkany po wyjściu z kościoła, gdzie słyszał na kazaniu, że za popełnione przez niego grzechy czeka go niechybne potępienie, zabił swoje dzieci, chcąc im oszczędzić losu, jaki groził ich ojcu. Niektórzy chorzy odmawiają przyjęcia pożywienia, uważając się za niegodnych tego. Inni kończą życie samobójstwem.

Smutnym jest stan waryatów, mających się za opętanych przez złego ducha, którego obecność czują ciągle w sobie i którego myśli, popędy i namowy mieszają i łączą ze swemi własnemi, nie mogąc odróżnić jednych od drugich. Stąd sami z sobą są w wiecznem nieporozumieniu.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o czarownikach, którzy tak ważną rolę odgrywali w wiekach średnich, a którzy do dziś nie zostali zupełnie zdyskredytowani.

Gdyby szło o szarlatanów, głoszących się za posiadaczów nadzwyczajnej potęgi i nadużywających wiary ciemnego ludu, nauka nie powinnaby się tą kwestyą zajmować.

Niestety jednak dziś jeszcze wielu jest halucynujących, którzy sądzą w dobrej wierze, że weszli w stosunki z dyabłem i przyjmowali udział w cudownych ucztach, wydawanych przez czarowników całego świata.

Wobec zgodnych opowieści obwinionych w rozmaitych średniowiecznych procesach, przychodzi na myśl, czy w rzeczy samej nie istniało kiedykolwiek stowarzyszenie, mające na celu odbywanie potwornych czarnoksięskich obrzędów. Stosunki zachodniej Europy z muzułmańskim wschodem, gdzie dotąd jeszcze znaleźć można czcicieli szatana, mogły dać początek sektom, których zebrania zamieniły się z czasem we wstrętne biesiady. Oddawano tam cześć dyabłu, który miał się ukazywać, to pod ludzką, to znów zwierzęcą postacią. Wyprawiano fantastyczne uczty, na których jedzono mięso ludzkie. Czarownicy i czarownice oddawali się rozpuście, a największym zaszczytem był stosunek z samym dyabłem. Każda z czarownic była dumną, gdy mogła się pochwalić, że została kochanką szatana.

Czy opowiadania te miały jaką podstawę w rzeczywistości, czy nie, w każdym razie obłąkanie umysłu grało tu ważną rolę, gdyż wielu z czarowników było nimi w dobrej wierze. Dziś mania czarnoksięstwa spotyka się tylko u rzadkich osobników, tem niemniej jednak zdarza się i wśród ludzi dość wykształconych. Przed paru laty pewien inteligentny młody człowiek po przeczytaniu kilku dzieł, osnutych na tle spirytyzmu, zaczął wchodzić w nadnaturalne stosunki i doszedł wreszcie do tej doskonałości, że wywołał raz złego ducha, ale podobny do owych niezręcznych czarnoksiężników, którzy źle wypowiedziawszy tajemnicze zaklęcie, nie mogli już się uwolnić od raz wywołanego dyabła, pozostał w swej wyobraźni w czułem sam na sam ze swym prześladowcą i był przekonany, że związał się z nim nieodwołalnem przymierzem, które zamiast zapewnić mu panowanie uczyniło go niewolnikiem szatana.

W wypadkach epidemii udaje się uleczyć chorych, rozdzielając ich i wyrywając z otoczenia, gdzie ich pojęcia wzięły początek. Najczęściej dają się uleczyć opętani. Za to szaleństwo spokojne, bez halucynacyj, zwane *lipemanią prostą* i polegające jedynie na obawie potępienia, jest najbardziej uparte i trudne do wyleczenia. Gdy cierpienie trwa długo, kończy się prawie zawsze zupełnem obłąkaniem.

M. W.

O POWABACH GRY.

I.

Gry w ogólności stanowią nader ponętny przedmiot dla badań psychologicznych. Widocznem to jest już ze względu na szeroki zakres, jakie one zajmują w życiu ludzkiem. Wzięte w najściślejszem znaczeniu (piłka, bilard, karty, kręgle, warcaby, szachy) u większej części ludzi zapełniają wiele czasu od kolebki do grobu. Gdy nadto uprzytomnimy sobie, że pod pojęcie *gry* w rozleglejszem rozumieniu podchodzą zarówno dziecinne zabawy w żołnierzy, jak i mimiczne przedstawienia bohaterów tragicznych, zarówno *cetno i licho* ze stawką o orzechy, jak i *faraon* o imperyały i bankocetle, zarówno pierwotne rzucanie piłką, jak i wszystkich sił umysłu wymagająca szermierka na stołach bilardowych i szachownicach, zarówno elementarne ćwiczenia gimnastyczne i wyścigowe, jak i najwyższy artyzm muzyczny — łatwo wytłomaczymy sobie, dlaczego poznanie istoty gry i pochwycenie tajemnicy jej uroku tak jest ciekawem.

Interesującą o tym przedmiocie rozprawę ogłosił świeżo dobrze znany na polu studyów filozoficznych berliński prof. M. Lazarus*).

Podług niego, gra każda jest czynnością, podjętą z zamiarem sprawienia sobie przyjemności. Ponieważ wszakże zamiar ten stanowi także cechę innych rozrywek (polowania, rybołówstwa, spacerów, jazdy konnej, maskarad itp.), które do gier nie należą, przeto dla uzupełnienia charakterystyki tych ostatnich, autor stara się uwydatnić różnice.

Lazarus najprzód przeciwstawia grze pracę. Praca wytężona jest trudną, gra jest rodzajem wytchnienia, a stąd łatwą. Jakkolwiek zaś wskutek długiej wprawy i zręczności praca nieraz żadnych nie kosztuje wysiłków, a gra często tyle wymaga energii i skupienia władz umysłowych (szachy), iż pod tym względem o wiele przewyższa zajęcia obowiązkowe, to przecie jedną od drugiej zawsze różni cel. W pracy cel ten leży po za nią. Pracując, człowiek dąży do nabycia wiedzy, dobrobytu itp. Gra, przeciwnie, sama dla siebie jest celem, chodzi w niej tylko o te-

*) *Ueber die Reize des Spiels von Moritz Lazarus.* w *Westermans Monatshefte*, październik, listopad, grudzień 1882 i styczeń 1883.

raźniejszość i o możliwie przyjemne zapełnienie jej. W organizmie zadań i usiłowań społecznych stoi ona zupełnie odosobniona, nie wiąże się, ani splata z żadnem z nich. Typowa forma cechy, odróżniającej grę od wszelkich innych czynności, najwyraźniej występuje na jaw w kartach. Tu każda partya stanowi fakt zamknięty, nie zostający w związku żadnym, ani z poprzednią, ani z następną. Gdy gra się kończy, ustaje zarazem jej istnienie i wpływ. A jeśli gracze zapaleni zachowują nieraz w pamięci szczególne wypadki lub niezwykłe kombinacye i jako o cudach z prawdziwem zamiłowaniem o nich opowiadają — to przecież i owe wypadki odnoszą się jedynie do ciasnego zakresu danego gatunku gry. Cokolwiekby więc o nich powiedzieć się dało, to pewna, że one nie oddziaływają na dalszy przebieg życia człowieka. Oddziaływanie to natomiast objawia się we wszystkich gałęziach pracy, z których każda sama siebie do coraz wyższej podnosi doskonałości, lub przyspiesza rozwój pozostałych, każda sama jest celem, lecz zarazem służy za środek do dopięcia innych.

Gra jest światem odrębnym, który największą ma wartość i urok dla tego, że wstępując doń, opuszczamy świat zwykły, codzienny, świat powołania życiowego i obowiązków. Do każdego zawodu, najniższego, jak i najwyższego, przywiązaną jest odpowiedzialność pewna. Gry nie krępują żadne więzy podobne i dlatego oddawać się grze znaczy na czas jej trwania wyłamać się zarazem z pod przymusów i ciężaru, oraz z pod odpowiedzialności.

Pomiędzy sprzecznościami, wypełniającemi i dzielącemi życie ludzkie, najistotniejszemi są praca i swoboda. Praca jest skupionem w doczesności natężeniem sił naszych. Z pośród tego ciasnego zakresu w dal dwie prowadzą drogi: jedna bieży ku górze, w nieskończoność, w krainę religii, gdzie wolna od trosk i nędz powszednich dusza odnajduje pojęcia o bóstwie; druga w dół wiedzie; usuwa ona nas od kłopotów i powagi życia rzeczywistego po to, abyśmy w swobodnem używaniu szukali przemijających kształtów rozkoszy, bez wartości, bez celu i odnajdywali je — w grze.

(D. n.)

Ad. J. C.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

A. Streckfuss **Oberża pod gwiazdą**, tłom. dr. J. Weinberg, Warszawa.

Dla czego lekarz tłomaczy powieść, której zalety artyzmu nie wybiegają po nad zwykły poziom? Na to pytanie odpowiada raczej okładka tytułowa, niż objaśnienie wstępne, w którem mowa o statystyce zbrodni, przemyśle, topografii i tym podobnych rzeczach, niemających z osnową utworu bezpośredniej styczności.

Otóż na okładce czytamy, że dochód z rozprzedaży książki ofiarowany został jednej z ochron Towarzystwa Dobroczynności. Co wart ten podarek? Materyalnie — wiele, gdyż nie wątpimy, że do *Oberży pod gwiazdą* zajrzy wielu ciekawych. Jest to powieść w stylu Gaboriau, policyjna, chociaż węzeł, rozciekawiający czytelnika, z mniejszym zadzierzgnięty talentem. Jak zwykle chodzi tu o zbrodnię, której cień pada na ludzi uczciwych, podczas gdy zręczny agent policyjny wykrywa rzeczywistych, przez nikogo niepodejrzywanych łotrów. Zaszkodzilibyśmy Ochronie XV, gdybyśmy opowiedzieli szczegółowo treść utworu, którego cała wartość polega na tem, ażeby czytelników utrzymać w zupełnej niewiadomości, co

znajdą na ostatniej stronicy. Cała wartość w tem tkwi, albo raczej cała, gdyż pochwalnego świadectwa, jakie tłomacz wystawił „wielkiemu talentowi“ autora, potwierdzić nie możemy. Lecoq był daleko bardziej pomysłowym, niż Werder, szlachcic niemiecki, pełniący obowiązki agenta policyjnego i po spełnieniu dzieła zrzucający z siebie chwilowo wdzianą skórę. Ponieważ zaś w *Oberży pod gwiazdą* kołysze się bardzo moralna tendencya, stopień zaciekawienia w niej dość znaczny, dochód z rozsprzedaży ma służyć biednym, więc nie rewidując jej szczegółowo, kończymy wzmiankę radą: przeczytajcie.

Nauka rachunków, cztery działania z liczbami całkowitemi, Warszawa.

Miły gość! Pierwsza „książeczka dziesięciogroszowa“ wydawnictwa, widocznie przeznaczonego dla ludu miejskiego i wiejskiego. Widać to z ceny i treści. Dziesięć groszy za 72 stronice druku—to miłosiernie. Wykład możliwie jasny, zdradza wielką zdolność popularyzatorską i niewątpliwie osiągnie pożądane skutki. Naturalnie wtedy jedynie, gdy książeczka dostanie się do rąk właściwych. Pośrednictwo w rozpowszechnianiu jej zalecamy też gorąco przyjaciołom naszego pisma i oświaty ludowej.

WYKŁADY O RAFAELU.

Prof. Struve *Ogólne znaczenie Rafaela w rozwoju sztuki.*
W. Gerson *Techniczny rozwój talentu Rafaela*

Rafaelowskie święto, które w całych Włoszech obchodzono tak uroczyście i u nas uczczonem zostało przez dwa odczyty publiczne, oraz jubileuszowy numer *Tygodnika Ilustrowanego*. W nowym Salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych (dawniej Ungra), ozdobionym w liczne kopie i reprodukcye z dzieł wielkiego artysty, wygłosili swe odczyty prof. Struve i Gerson, wytknąwszy sobie dwa zadania, które się wzajemnie dopełniły. Pierwszy w godzinnej pogadance starał się wykazać, na czem polega wielkość geniuszu tego mistrza w rozwoju sztuki, więc najprzód zaznaczył ogólne jego rysy: nadzwyczajną łatwość tworzenia, popartą przez siłę i wytrwałość, scharaktyzował krótko jego indywidualność jako człowieka. Opowiedział następnie początkowy okres działalności wielkiego artysty, związany z tradycyą mistycznej sztuki umbryjskiej, naszkicował potem dobę florencką, jako zwrot do realizmu, i rzymską, jako epokę najbujniejszego wykwitu i dojrzałości. Wnioskiem wykładu było uznanie geniuszu Rafaela jako potęgi, kojarzącej w sobie różnorodne czynniki psychiczne i cywilizacyjne. Prof. Struve słusznie podniół Rafaela do wyżyny tych geniuszów, które się wznoszą po nad częściowe kierunki lub sekciarskie poglądy. Szkoda tylko, że ramy odczytu nie pozwoliły prelegentowi wyjść po za sferę charakterystyki dość ogólnikowej, dokonać szczegółowszego rozbioru tej potężnej intuicyi w związku z żywotnymi prądami owego czasu. Wiadomo też, że prof. Struve nie jest zwolennikiem nowej metody estetycznej, która dzieła sztuki traktuje jako wytwór całego życia duchowego danej epoki, ale widzi w nich realne wcielenie idei piękna, której byt oderwany przyznaje. Nic dziwnego więc, że tło dziejowe odczytu było traktowane szkicowo, a rozwój geniuszu Rafaela ukazywany ciągle w kształtach zjawiskowych, nadzwyczajnych.

P. Gerson przedstawił w swym odczycie dzieje rozwoju techniki Rafaelowskiej, jakkolwiek także wkraczał w dziedzinę kwestyj zasadniczych. Było to szczegółowe wypełnienie poglądów, rzuconych przez prof. Struvego, chociaż w niektórych drobnych punktach kontury obu tych prelekcyj rozmijały się z sobą... Wykład p. Gersona przytem rozpraszał się na szczegóły, nie skupiał się dość wyraźnie w zasadniczych rysach, nie tłomaczył dość jasno podstaw optycznego poglądu artysty na świat zewnętrzny.

W każdym razie zarówno p. Struve jak i p. Gerson zasługują na uznanie za to, że za ich sprawą przyjęliśmy udział w obchodzie wielkiego święta sztuki, stwierdzając węzły, łączące naszą umysłowość z pochodem ogólno-ludzkiej cywilizacyi.

J.

LIBERUM VETO.

Troska o państwo rzymskie. — Co by Goethe dziś śpiewał. — Epoka dynamitu. — P. Rembertowski zakryty jego dymem. — Przewaga podsądnych nad krytykami. — Zamknięcie ust p. Maciejowskiemu. — Wstręt do przysmaków jednomyślności. — Co to jest kraj i naród. — Zaświadczenie monitora szlacheckiego. — Jak za Sasa. — Śmierć przy kieliszku. — Podarki dla ogółu. — Poniewierka epitetów.

Każdego rana składam dzięki Bogu — powiada Goethe — że nie potrzebuję troszczyć się o państwo rzymskie.“ Niestety, nawet ci z nas, którzy wraz z nim wołają: „pieśń polityczna — tfu!“ muszą ją śpiewać lub słuchać. Kto dziś zdoła owinąć się w chmury olimpijskie i odwrócić wzrok od zapasów politycznych lub społecznych? Gdyby Goethe żył teraz, niezawodnie naciągnąłby na swej lirze te dwie znienawidzone przez niego struny i wydobył z nich albo hymn *kulturkampfu* albo balladę dynamitową. Czy w takich warunkach można się dziwić panu Rafałowi z Wólki Służebnościowej, gdyby wczytany w opisy rozmaitych wybuchów zapomniał rozpocząć wiosennych siewów? Jeżeli uczeni zapominają dziś badać a poeci rymować śród pękających min, to wolno również stracić pamięć zwykłemu śmiertelnikowi, który przytem, od czasu jak myśli, spodziewa się „czegoś na wiosnę.“ Jak tu nie „troszczyć się o państwo rzymskie,“ gdy codzienna litania telegramów tak brzmi: spiskowcom udało się omylić czujność policyi i przywieść do Londynu znaczny ładunek dynamitu; albo: uwiadomiono policyę, że statek, który wypłynął z Hamburga, wiezie nitrogliceryne; albo: O' Donovan Rossa oświadczył, że jeszcze dwieście fabryk dynamitowych służy bractwu iryjskiemu na postrach Anglii itd. Wiadomości z innych krajów brzmią mniej groźnie, ale także dynamitowo. Pisz-że człowieku teraz poezye, uczone traktaty lub poszukuj p. Rembertowskiego! Długoręki i szybkonogi ten mąż zdobiłby już dawno nasz Pawiak, gdyby w śledczych oczach policyi europejskiej nie zmalał wobec O' Donovanów i Kirtonów. Nikt nie łapie śledzi między rekinami. Jakkolwiek kradzież „znanego naszego ekonomisty“ dokucza oskubanym przez niego kasom warszawskim, dla policyi angielskiej, której niedomyślności on się pewnie cieszy, jest to drobny figiel w porównaniu z zamiarem wysadzenia parlamentu. Zaprawdę też, zaprawdę powiadam wam, prędzej turkowie znajdą swoją gdzieś zgubioną konstytucyę, niż wy złapiecie Rembertowskiego. Osłania go bowiem dym wybuchów dynamitowych.

Niedawno wspomniałem o krzywdzie, jaką plotkarskie pisma wyrządziły jednemu z urzędników (warszawskiej Izby Skarbowej), ogłosiwszy, że zemknął z jakimś łupem i pomnożył liczbę... aniołków. Biedak ten był chory, wyjechał koleją nieprzytomny, a sprowadzony do Warszawy i niegodziwie przez kogoś objaśniony, w jakiem błocie go Kuryery unurzały, wpadł w głębszą melancholię i oto przed kilku dniami, wyjechawszy od brata, odebrał sobie życie. Nie będę obliczał procentu winy reporterskiej w tem nieszczęściu, pozwolę sobie tylko westchnąć: czemu p. Rembertowski nie rozwiązał takim sposobem zagadki swego życia, a rozwiązał ją człowiek, dla którego ono było ciężkiem brzemieniem, ale nie hańbą!

Mimo to wszystko jestem pewien, że gdyby p. Rembertowski zasiadł na ławie oskarżonych, sąd nie pozbawiłby go głosu i okazał się względniejszym, niż zgromadzenie Towarzystwa Wzajemnego Kredytu dla p. Maciejowskiego, któremu gwałtem zamknięto usta. Niech to nikogo nie dziwi: u nas podsądny ma większą swobodę, niż krytyk. Nie twierdzę bynajmniej, ażeby wszyscy finansiści nasi byli trznadlami a tylko p. Maciejowski orłem i ażeby jego chroniczna opozycya nie wynikała czasem z hipokondryi, ale to pewna, że: 1) stanowi jedyny nerw życia w rozprawach martwych ciał bankowych i 2) posiada zupełnie to samo prawo objawiania się, co i najbardziej oklaskiwane rozumy. Dopóki p. Maciejowskiemu reporterzy w sprawozdaniach skrobali marchewkę, można było z uśmiechem dla jednej lub drugiej strony patrzeć na tę zabawę; ale gdy członek poważnej instytucyi kredytowej staje się ofiarą publicznego gwałtu większości, niedozwalającej mu bronić swych zapatrywań, to zaczyna być dzikiem i zarysowywać się nieco poważniej. Jak wiadomo, my krytyki nie lubimy, chyba z miodowym sosem, a jednakże nawet kilku organom naszej prasy parlamentaryzm Towarzystwa Wzajemnego Kredytu bardzo się nie podobał. Więc już i dla naszego smaku przesolono! Ach, gdyby nam wszystkie przysmaki „jednomyślności“ ostatecznie zbrzydły! Możeby wtedy i p. Maciejowski przestał gubić kraj. Kraj? A naturalnie. Alboż to państwo nie wiecie, co to znaczy wyraz *kraj*? *Kraj* czyli *naród* jest to w miarę potrzeby: *Kuryer Warszawski*, proboszcz z pod Lublina, obywatel z pod Radomia, hrabina Fiufiu, jezuita krakowski, wreszcie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, ktokolwiek lub cokolwiek, osobnik lub korporacya, poddana ostrej krytyce. Według naszego słownictwa do tych nazw mają prawo nietylko miliony ludzi lub tysiące mil kwadratowych, lecz każdy osobnik, każdy kram. Otwórz pierwszą z brzegu muszlę, dobądź z niej prawomyślną ostrygę i powiedz głośno: to mięczak, ona ci natychmiast odpiszczy: wróg kraju, potwarca narodu! Skoro zaś prawo takiej odpowiedzi służy nawet muszli i ostrydze, nie dziwiłbym się wcale, gdyby Towarzystwo Wzajemnego Kredytu napiętnowało nią p. Maciejowskiego. Czyż ten człowiek nie obraził całego społeczeństwa, zrzekłszy się zaszczytu kiwania głową nad sprawozdaniem banku?

Na nieszczęście i ja muszę dziś obrazić naród, chociaż na szczęście nie będę odosobniony w grzechu. Przed kilku tygodniami *Kraj* petersburski oskarżył część naszych posiadaczów większej własności o podstępne bankructwa, za co *Wiek* dał mu „porcyę.“ Okazało się jednak, że oskarżenie było zasadnem i że *Wiek* nie połączył się jeszcze drutem telefonicznym ze sferą ziemiańską, chociaż bicie jej serca tak starannie wysłuchuje, gdyż monitor szlachecki, *Niwa* aż trzykrotnie oświadczyła, że „pocisk tym razem trafił.“ Czy trafił, nie wiem, gdyż faktu nie znam, ale znam inny, mniej wymagający zręczności, ale więcej odwagi. Oto w pewnej okolicy naszego kraju odżyły tradycye Sasów tak żywo, że najdalsze popuszczanie pasa już nie starczy. Nic bym nie miał przeciwko temu, gdyby: 1) pijaństwo chłopów nie było tak dotkliwą dla nas troską i 2) gdyby trzeźwiejsi od nich panowie powracali ze swych biesiad przynajmniej żywi. Tym-

czasem na jednej z nich poległ bohaterską śmiercią przy kieliszku ojciec kilkorga dzieci, którym środków do życia zapomniał zostawić. Drugiego przywrócono do życia, ale ten znowu zapaliwszy papierosem kołdrę omal nie sprawił kremacyi kilkunastu swoim bezprzytomnym, obok śpiącym towarzyszom. Na litość panowie, pijcie, ale nie umierajcie i nie palcie się, bo skądże weźmiemy „przedstawicieli narodu?" Do mnie zaś nie miejcie urazy za to, że was napominam publicznie, gdyż chłopi *Prawdy* nie czytają, nie dowiedzą się zatem o waszych śmiertelnych zapasach z butelkami. Chamy! Gdyby się dowiedzieli, niejeden rzekłby pewnie: oj, oj, trza będzie i dla nich założyć gospody chrześciańskie....

Jakkolwiek powyższy obrazek jest zdjętym z natury widokiem jednej okolicy i przedstawia małą grupę ziemiańską, nie myślę przeczyć, że stosownie do objaśnionego wyżej słownictwa obraziłem nim cały naród, a przynajmniej całą jego warstwę. Gdy mowa o oszustach i pijakach, prawi i trzeźwi się nie liczą... To nie społeczeństwo, nie klasa...

Nie należała również do niej zmarła Zofia z Koziebrodzkich Chełmicka, w której świeżo otwartym testamencie Sąd Okręgowy znalazł następujące dla ogółu podarki: 1) 90,000 rs. na stypendya szkolne dla dzieci oficyalitów wiejskich: ekonomów, pisarzów, ogrodników, lokajów i stangretów, którzy przynajmniej przez 10 lat pozostawali w jej służbie; 2) 15,000 rs. dla zakładu paralityków w Warszawie; 3) tyleż dla sierót w zakładzie św. Kazimierza; 4) tyleż dla Instytutu głuchoniemych i ociemniałych; 5) tyleż dla nędzy wyjątkowej. Chociażby to miało znowu rozgniewać *Przegląd Katolicki* powtórzę dawniejszą moją uwagę, że pocieszającym rysem tych legatów jest odprawienie wiecznie głodnego ultramontanizmu z kwitkiem. Z tak bogatej szkatuły nie dostał on ani grosza, gdyż testatorka nie kupiła sobie nawet nabożeństw za swą duszę, mimo że mogła je opłacić aż do dnia sądnego. Ach, *tempora mutantur*, ile by to dawniej spłynęło do kieszeni dobrodziejów z zastygających rąk bogatej obywatelki! Dziś cała darowizna idzie na korzyść nędzy i oświaty. I to jeszcze dla kogo — dla dzieci oficyalistów wiejskich. Kandydaci do stypendyów nie będą potrzebowali legitymować się, że ich babka wyszła z Porajów a ojciec ze Ślepowronów — dość gdy wykażą, że ojciec był uczciwym ekonomem lub stangretem. Spytałbym: gdzie się urodziła ta Zofia z Koziebrodzkich Chełmicka, gdyby zapisy lat ostatnich nie przyzwyczaiły nas do tego wspaniałego zjawiska, które stanowi prześliczny rys widocznie odradzającego się społeczeństwa. Nie odczuwają go panowie, którzy za życia opłakują zepsucie ludu, a po śmierci przekazują potomnym tylko ściśnięty w martwej dłoni kieliszek. W nekrologach czytamy nieraz pochwały dla rozmaitych „zacnych matron" i „wzorów niewiast polskich," które tem tylko uszczęśliwiły ogół, że urodziły się, miały dużo pieniędzy, ze wzgardą patrzyły na motłoch i syte w dostatku umarły; jeżeli im się należy takie kadzidło, jak nazwać Rapacką lub Chełmicką? Nie wiem, i dlatego nie składam na grobie ostatniej żadnych epitetów, ażebym jej pamięci nie ubliżył. Od czasu jak psy nazywają się Hektorami, dzisiejszy Priam nie dałby tego imienia obrońcy Troi. „Zacna matrona..." to mi brzmi w uszach niby „facetka," niby „nasz znany ekonomista..."

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Przygoda nadwiślańskiej Syreny. — Rozmowa z Agatą i z przyjacielem. — Dwolstość ich logiki. — Okólnik głównego zarządu.

Duchowi memu dała w twarz i poszła...

Taką parafrazą słów poety rozpoczął swój list jeden z moich korespondentów. Przyczyną cytaty stał się dość rzadki u nas objaw prowincyonalnej donżuaneryi. Bohaterką opowiadania jest pewna Syrena nadwiślańska, której przeszłość, niezbyt chwalebna, dała okolicznym Lowelasom powód do umizgów bardziej natarczywych, niż przyjemnych. Nadewszystko trzej sąsiedni donżuanowie zaszczycali nietaktowną dziewicę swoją uprzejmością, a jeden z nich zaczął sobie wprost rościć pretensye do tytułu jej opiekuńczego ducha. Nadobna, żałując mocno błędów młodości, postanowiła za jakąbądź cenę uwolnić się od natręta. Sposobność po temu wkrótce się nadarzyła.

Podczas jakiejś uroczystości czy zabawy towarzyskiej, donżuan wystąpił znowu ze swoją opieką.

— Prosiłabym pana o większe umiarkowanie — powiada dziewica.

— Przedewszystkiem dla pani ja nie jestem zwykłym „panem," jestem twoim duchem opiekuńczym.

Miarka cierpliwości przebrała się, i panna za całą odpowiedź dała memu korespondentowi... asumpt do powyższej cytaty.

Zdarzenie to postanowiłem opisać ku przestrodze i nauce naszych brukowych donżuaników, którzy zabierają zbyt wiele miejsca *Kuryerom.*

Ku rozrywce zaś i zabawie czytającej publiczności powtórzę tutaj moją rozmowę z panią Agatą.

— Wojciechowo — powiadam do niej — wierzycie wy też w czary?

— Ja tam, proszę pana, w żadne czary nie wierzę, ale że są, to są!...

Taka dwoistość chłopskiej logiki wprawiła mię w kłopot nielada; wyprowadziło mię z niego przyjście mego kolegi. Jest to zażarty demokrata i, jak się zdaje, *Przegląd Katolicki* obstalował dla niego u Lucyfera podwójną porcyę smoły i siarki. Nowo przybyły zaczął zaraz z progu wymyślać wszystkiemu, co tchnie jakimkolwiek tytułem lub herbem. Co do mnie to nie przypuszczałem nigdy, aby ktoś chciał robić dla naszego społeczeństwa drogowskazy z gałek hrabiowskiej korony; postanowiłem więc zreflektować przyjaciela.

— Ja tam w żadnych naszych arystokratów nie wierzę! — powiadam.

— Tak i ja nie wierzę, ale że są, to są!..

— Cóż u licha — krzyknąłem zniecierpliwiony — drugi raz słyszę ten sam absurd!..

— To jest... widzisz, ja wierzę, owszem wierzę, ale mój drogi, mięjże tu odwagę powiedzieć głośno, że wierzysz w cóś podobnego... Wyśmieją cię wszyscy, lub co gorsza, powiedzą, żeś świadomy wichrzyciel nieświadomego... chciałem powiedzieć spokojnego społeczeństwa... Niepodobna!

— Ale że są, to są! Dodał znowu po chwili milczenia.

— A dowody?

Mam. W gubernii radomskiej jest miasteczko, w którego okolicach znajdują się pokłady zielonej gliny. Zapewne z tego materyału stworzył Bóg kiedyś protoplastę bogatych książąt X, dzisiejszych właścicieli dóbr okolicznych. Panowie ci różnią się od wszystkich śmiertelników.

Krewny mój, który jest jakimś oficyalistą w administracyi ich majątków, otrzymał przed kilku dniami, taki okólnik od Głównego Zarządu.

Przy tych słowach kolega położył przedemną jakieś pismo, którego treść przytaczam tutaj dosłownie.

„Każdy *jakiby nie był* interes J. J. O. O. książąt, a naszych najzacniejszych pryncypałów Zarząd Główny wraz z W. W. P. P. musi uważać za święty, najlżejsze zaniedbanie, nawet w najdrobniejszym szczególe, nie już ze złej woli i chęci nieszczerych, lecz li tylko wskutek niedostatecznego wytężenia uwagi zachodzące, widnieje (?), jak ciężkie przewinienie, które nas tak moralnie, jak materyalnie czyni odpowiedzialnymi, jeżeli nawet opinia ludzka częstokroć kroki nasze usprawiedliwić potrafi, głos sumienia trudnym jest do pokonania, a myśl o życiu przyszłem, jakżeż uważnie kroki nasze stawiać nam każe.

Wierzę, że W. W. panowie, uznawszy w wyżej przedstawionych punktach do spełnienia li tylko jedyną korzyść najzacniejszych naszych pryncypałów, a godnych Chlebodawców J. J. O. O. książąt Dziedziców, *niesienie dla dobra których* ostatka sił nawet nie może nie tylko nie wywołać sarkania, lecz przeciwnie jest i musi być prawdziwym naszym zadaniem i honorem dla nas, bo gdzież dziś wśród zmateryalizowanego społeczeństwa podobnie sprawiedliwych i oceniających znojeuczciwej pracy magnatów znaleźć już możemy, szczerze zechcą się zsolidaryzować z chęciami i zamiarami Zarządu Głównego, a przyrzucając do wagi Jego jeszcze stokroć lepsze i użyteczniejsze swoje, wydatnymi czynami dadzą świadectwo o swojej przychylności i miłości do naszych książąt, dla których pracując, powtarzam raz jeszcze, nawet z bezwarunkowem zapomnieniem o sobie, najlepsze damy dowody miłości dla kraju, bo kto kocha swoją ziemię rodzinną, swój naród i pragnie wywyższenia jego, ten niechaj najprzód pamięta, że społeczeństwa, na czele których będą błyszczały, jak *świetlane* gwiazdy, takie nazwiska jak naszych pryncypałów, nigdy istnieć nie przestaną i pokonane nie będą. Kierownictwo ludów spoczywa i spoczywać będzie w ręku wybranych jednostek z narodu tj. Arystokracyi, owych, że tak powiem, dziejowo-uszlachetnionych i przez wyższą wolę wybranych członków danego społeczeństwa, lecz ci, aby mogli swobodnie używać swych wpływów, iść za zacnymi popędami swych myśli i we wszelkich kierunkach objawiać najzacniejsze swe dążenia, jak nasi J. J. O. O. książęta dziedzice, muszą do siły słowa i czynow mieć siłę *złota...* (w tem miejscu zrozumiałem dokładnie okólnik). My więc oszczędzając i pracując na dostarczenie tego złota spełnimy, *najzacniejsze posłannictwo na tej ziemi* (zapewne dla ziemi gallów, do której powędruje złoto?) bo stwarzając pomyślny stan interesów jednostki t. j. naszych pryncypałów, dołożymy grosz wdowi do skarbony naszego biednego kraju i ofiara taka, będąc *szczytem ofiar* musi dla nas sprowadzić uznanie godnych miłości naszych książąt i błogosławieństwo boże..." (Czy i na głowę tych, co będą doświadczali swych najzacniejszych wpływów nad aktorkami Paryża?).

— O cóż tu właściwie chodzi? — pytam przyjaciela.

— Chodzi o obłożenie administracyi podatkiem na rzecz miejscowego kościoła, a czytaj dalej.

„J. O. książę Dziedzic z chęcią i hojną dłonią łoży ofiary na świątynie Pańskie, daje stokrotnie na to i więcej dawać będzie, jak każdy inny, lecz granic możności przestępować nie można. Jeżeli roczna ofiara będzie dosięgać, jak obecnie dosięga 2,000 rs., w takim razie podatki z dóbr i te ofiary pochłoną wszelki dochód. I dla J. O. księcia dziedzica zostaje w rezultacie *zero* (rozpaczliwa arytmetyka!). Cóż więc za przyszłość w podobnym razie? Kto prawdziwie kocha swój kraj a miłuje naród, ten li tylko idąc już za uczuciem ro-

rumnie pojętego patryotyzmu powinien całemi siłami dążyć do utrzymania w całym blasku i potędze naszych magnatów. Naród, który miał i ma Magnatów, nigdy biednym nie będzie, miał i mieć będzie swoją historyę, siłę i znaczenie... Bez Magnatów owych dźwigni i przewodników narodu kraj upaść musi, bo magnaci są kolosami, o barki których największe przesilenia rozbić się muszą. (Dotychczas rozbijały się o nie tylko przesilenia finansowe oskardami hymenu). Jak każdy naród slabnie i upada, gdy się rozerwie nić uczuć jego pobożności, moralności i łącznika z Bogiem (czy już jest i pobożność?) tak kraj nędznieje i ginie ślad jego, gdy z granic ustąpią nazwiska Magnatów. Rzadko, bardzo rzadko pieniądz jest głównym czynnikiem ogółu ludzkości... (ale nie szczęścia magnatów?). Stwarza on bez wątpienia dobrobyt jednostek, lecz bogactwo ludów stanowią bezwarunkowo w wielkiej liczbie rody, które długie lata, stojąc na straży narodowego pamiątek ołtarza i dzierżąc w ręku berło przewodnictwa (czy na wyścigach?) dają hasła i pobudki złotu i srebru do obracania się na pożytek tego społeczeństwa, z wśród(?) którego sam Stwórca wybrał ich i ukształcił na niestrudzonych pracowników około niwy ojczystej. Cenię więc te prawdy, których historya od najodleglejszych czasów niezbite wyniki podaje. Każden powołany do niesienia osobistej pracy dla utrzymania dobra naszych Magnatów, ma za obowiązek święty wytężyć swoje wszystkie siły, powołać cały zapas swej logiki i zdrowego rozsądku na to jedynie, aby najostrzejsze wymagania sumienia spełnione były i aby z uczciwością a prawością charakteru idąc drogą najmozolniejszej choćby pracy, zawsze był w stanie przy każdem westchnieniu do Boga wyrzec te śmiałe słowa: „Dzięki ci panie, żeś dał mi możność sumiennie spełnić mój obowiązek i godnie wykonać to, czego się podjąłem.“

Kiedym skończył czytać, pot kroplisty okrywał mi czoło i wyszeptałem upokorzony:

Ale że są, to są!

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 kwietnia.

Rewolucya dynamitowa w Anglii. — Obawy w Berlinie o pokój. — Nowe przymierze potrójne. — Demokraci socyalni w parlamencie niemieckim.—Wielka burza.

Wszystkie wiadomości bieżące z Londynu donoszą ciągle o aresztowaniach rewolucyi dynamitowej, o konfiskacie mnóstwa ładunków, o przedsięwzięciach przez rząd nadzwyczajnych środków obrony. Garnizony i straże wojskowe w głównych miastach są ciągle wzmacniane, żołnierze na posterunkach stoją z bronią nabitą ostrymi ładunkami. Z drugiej strony działalność stronnictwa rewolucyjnego fenienów, mających na celu oswobodzenie Irlandyi, otrzymuje bardzo silne poparcie z Ameryki, gdzie liczna emigracya irlandzka, pałająca głęboką, nieprzejednaną nienawiścią ku Anglii, gotowa jest na wszelkie wysiłki dla obalenia ucisku.

Berlińscy polityci udają, że wierzą w wielkie niebezpieczeństwo, zagrażające pokojowi europejskiemu ze strony rzeczypospolitej francuskiej. W istocie sprawdzają się dotąd słowa Moltkego, wyrzeczone przed kilkunastu laty, że: „przez pół wieku będą musiały Niemcy bronić tego, co zdobyły w przeciągu pół roku.“ Od czasu zawarcia pokoju frankfurckiego upłynęło lat dwanaście, a zjednoczone Niemcy stać muszą ciągle pod bronią. Ich gotowość bojowa zmusza inne mocarstwa myśleć o swojem bezpieczeństwie. Tym sposobem Europa nie przestaje być zbrojnym obozem, a siedm milionów żołnierzy nieustannie podtrzymywać musi „zapewniony pokój.“ Dowodem naprężonego położenia rzeczy jest ten smutny fakt, że najdrobniejszy powód wystarcza do wywołania wielkich obaw i sojuszów. Tak np. projekty zamierzonego skoncentrowania kilku oddziałów kawaleryi francuskiej na granicy niemieckiej, o mało w Paryżu nie wywołały przesilenia ministeryalnego, a w Berlinie widziano w tem już niebezpieczeństwo zagrażające pokojowi ogólnemu.

O sojuszu, zawartym świeżo pomiędzy Włochami a Niemcami i Austryą, rozwodzą się szeroko dzienniki europejskie, a prasa wiedeńska wykazuje całą niekorzyść roli, jaką w przymierzu tem odgrywa monarchia Habsburgów. Rzeczywiście przymierze to odpowiada jedynie interesom niemiecko-włoskim, a skierowane jest wyłącznie przeciwko Francyi. Nowa to ofiara dla niemieckiego jej sojusznika, połączona z wielkiem ryzykiem bez odpowiednich korzyści. Organy bismarkowskie chciały wytłomaczyć zbliżenie się Austryi z Włochami potrzebą wspólnych działań przeciw radykalizmowi i respublice włoskiej. Temu wszakże mogliby uwierzyć tylko ci, co nie znają zupełnie stosunków włoskich. Dziś rząd włoski da sobie sam radę ze swemi sprawami wewnętrznemi i nie potrzebuje szukać wcale cudzej pomocy.

W parlamencie niemieckim demokraci socyalni posiadają głos decydujący pomiędzy dwoma wielkiemi stronnictwami t. j. zjednoczonymi liberalnymi z jednej, a konserwatystami i środkiem z drugiej strony. Naturalnie, że postarają się oni wyciągnąć wszelkie możebne korzyści z tego przyjaznego dla siebie położenia i będą prowadzili zaciętą walkę z polityką rządową. Uchwały kongresu socyalnego w Kopenhadze nie zostawiają żadnej wątpliwości co do takiego kierunku tej walki. Posłowie Vollmar, Frohme, Bebel i ich towarzysze, podczas tajnych obrad w stolicy Danii, nie spodziewali się jeszcze, że zajmą w sejmie niemieckim tak poważne stanowisko w skutek obecnych kombinacyj parlamentarnych i ugrupowania się stronnictw. W dniu aresztowania kilku z nich w Kielu przez policyę berlińską, konserwatyści ze środkiem cieszyli się chwilowo jednym głosem większości a usiłując ratować wniosek o cłach drzewnych, odesłali go do komisyi. Z przybyciem jednak posła Vollmara do sejmu państwa liberali nastawali na niezwłoczne przedstawienie ustawy przemysłowej z zamiarem odrzucenia jej. Tym sposobem przybycie jednego posła socyalno-demokratycznego dostatecznem było do przywrócenia większości liberalnej.

W Sejm rzeszy niemieckiej — jak donosi telegram ostatniej chwili — uderzył grom, którego echo odbiło się w całej Europie. Cesarz niemiecki przemówił do przedstawicieli narodu niespodziewaną dla nikogo odezwą, w której domaga się od nich uchwalenia budżetu na rok przyszły, ażeby sesya zimowa była wolna dla obrad nad wnioskami o poprawie rozmaitych stron życia klas niższych. Ponieważ wskrzeszenie już raz odrzuconej propozycyi dwuletniego budżetu świadczy o uporze ks. Bismarka, usiłującego koniecznie pogwałcić konstytucyę, odezwa zaś zawiera pośrednio naganę dla sejmu za niedbałość o interesy ludu — nic więc dziwnego, że sprawiła ona wielkie zamieszanie. Dotąd stronnictwa nie zdecydowały, jakie mają zająć pozycye a liberalne myślą, jak ten nowy szach kanclerza odeprzeć. W przyszłym tygodniu dopiero będziemy wiedzieli, jaki z tej wielkiej chmury spadnie deszcz. Ulewa wszakże prawdopodobna — z ust E. Richtera, zwłaszcza gdy Bismark w parlamencie się zjawi. *S. C.*

CUDZE GŁOSY.

Gorzka prawda. Nietylko Romanowicza, ale i umiarkowanego Bilińskiego mowa narobiła hałasu nawet w zagranicznej, zwłaszcza pruskiej prasie, dając nieprzyjaciołom pożądaną broń przeciw polakom i uzasadniając podejrzywanie ich o zamiar zapędzania się w nowe awantury polityczne. Wywnętrzaniem się swojem rzeczywiście p. R. nie oddał społeczeństwu naszemu najmniejszej usługi, wyrządził mu nawet szkodę, bo nieprzyjazne nam dzienniki, chociaż przekonane w duchu, że wynurzenia kandydackie nie zmienią stosunku Galicyi do korony, tem mniej wpłynąć mogą na stosunek Austryi do Niemiec— czepiają się pierwszej lepszej sposobności, aby tylko wskazać na nas, jako na żywioł, podsadzający miny pod spokój Europy. Tej nieroztropnej gadaniny na temat... budowy piramidy nie omieszkają wyzyskać kiedyś niemcy w sejmie pruskim albo niemieckim parlamencie, jak tylko odezwą się polacy ze skargami na ucisk. Znajdzie się znowu jaki Gosler, który przez półtrzeciej godziny będzie dowodził, że niby to domagamy się jedynie narodowych praw naszych, a w rzeczywistości o niczem innem nie myślimy, tylko o restauracyi dawnej Rzeczypospolitej. Wskazując tę naszą nieroztropność i jej skutki, wysnuwa *Dilo* nadto następujące jeszcze uwagi:

„Walcząc przeciw polakom, przeciwnicy uchwycili bardzo ostry i niebezpieczny dla nich oręż, którym jest: stosunek polaków do rusinów. W Berlinie przy rozprawie nad ostatnim wnioskiem polskim jeden z niemieckich posłów odezwał się do polskiej ławy: „A co, panowie polacy, wy domagacie się od nas praw narodowych, a tymczasem, jakże to postępujecie z rusinami w Galicyi? Co w tej chwili mówią posłowie ruscy w wiedeńskiej Radzie państwa i jaką im na to dajecie odpowiedź?..“ Można sobie wystawić zakłopotanie poznańskich posłów. My ich szczerze żałujemy, bo poznańscy polacy nic nam nie zawinili. Ileż razy nawoływali oni galicyjskich polaków do wymierzenia nam sprawiedliwości! Co poznańscy polacy winni, że wyrodni ich bracia galicyjscy wojują z nami przewrotnością? Tak samo niewinni nam nic warszawscy polacy, którzy za galicyjskich swych rodaków słuchać muszą często przytyki od pp. Katkowa albo Aksakowa.

Przykro nam, że niemcy kują oręż przeciw polakom ze skarg naszych, wnoszonych w wiedeńskim parlamencie. Ale nie my temu winni. Boć czyż jest miejsce gdzieindziej, a nie we Wiedniu tylko, gdziebyśmy się mogli upomnieć o nasze prawa? Może w lwowskim sejmie? Ależ tam na przeszło 150 posłów niema nawet tylu rusinów, aby ich stało na podpisanie interpelacyi—a do tego trzeba niewiele, bo tylko 15 podpisów!..

Centralistyczna, bezsprzecznie teraz wielce polakom nieprzyjazna *Neue freie Presse*, rozbierając niedawno sprawy polskie, tak mówi: „Polacy posiadali niegdyś sympatyę w Europie i sławę, jako wojownicy postępu... Ale teraz zmieniła Europa swoje zapatrywanie, zobaczywszy, jak w Galicyi postępują polacy z bratnim narodem...“ Gorzkie to słowa, ale sprawiedliwe, tem więcej dotkliwe, że wyszły z ust ciężkiego wroga. Któż temu winien? My rusini — nie! Sami galicyjscy polacy niech przypiszą winę sobie...

Tak więc zamiast „odbudowywania Polski“ — rozumie się i na Rusi, nie spytawszy rusinów, czy sobie życzą tego—powinniby nasi polacy naprawić przedewszystkiem to złe, za które muszą niewinnie pokutować ich bracia, osobliwie w Poznańskiem, to jest — powiedzmy wyraźnie—dać rusinom całkowite równouprawnienie w Galicyi. Gdy do tego przyjdzie, wtedy my rusini będziemy z wami, panowie polacy, rachować się nie w Wiedniu, aby wrogowie słowiaństwa nas słyszeli, ale—w domu, w lwowskim sejmie... A wtedy i Europa otoczy was napowrót czcią i sympatyą, którąście—jak sprawiedliwie utrzymuje wiedeńska gazeta—postradali ostatnimi czasy...“ (!)

Matactwa „Czasu:“ Z powodu wyboru p. Zacharyewicza *Czas* nie posiada się z radości. Dmie w surmę zwycięską. co sił starczy, jak gdyby zwyciężyły jego zasady; podczas gdy przeciwnik p. Romanowicza najwyraźniej oświadczył, że poglądy jego na sprawy publiczne w niczem się prawie nie różnią od zapatrywań redaktora *Nowej Reformy*. Różnica między dwoma kandydatami zachodzi tylko *w tonie* wypowiadania pewnych haseł, ale nie dotyka ich *treści*. Mimo to podwawelski *Figaro* usiłuje przekonać swoich czytelników, że „zdrowa“ polityka (obacz: „stoimy wiernie i zawsze stać będziemy przy Tobie“ itd.) odniosła wreszcie tryumf nad historycznem warcholstwem lwowskiem. Właściwe znaczenie niezrozumiałej skądinąd radości *Czasu* odkrywa *Gazeta krak.*

„W wyzyskaniu zwycięstwa p. Zacharyewicza — pisze ona — *Czas* patrzy więcej na Wiedeń, chcąc mu przedstawić, że zwycięstwo to jest tryumfem jego frakcyi, a oznacza wyrzeczenie się haseł, „mających dziś już tylko retoryczną wartość,“ że to jest tryumf „psychiczny“ nietylko w stosunku do państwa, jak powiada, „ale i w stosunku do własnego charakteru narodowego,“ i stara się przedstawić, że zdobycze — nie od lat szesnastu, t. j. od ery konstytucyjno-autonomicznej — ale od lat dwudziestu w Galicyi były zagrożone upadkiem przez samą możliwość wyboru Romanowicza. Tak więc niech wie rząd austryacki, że tylko frakcya (stronnictwo), frakcya potężna, która sobie w Wiedniu pożycza siły, utrzymuje kraj w porządku, w zwycięstwie psychicznem nad sobą samym a w poddaniu się dyktatom łaskawych opiekunów frakcyi u sfer rządzących.

Całej tej niecnoty, umyślnej czy bezmyślnej, organ ten przewrotny dokonuje (?) wtedy, gdy w kraju niema istotnie tuzina ludzi politycznie myślących, którzyby pragnęli zerwania z Austryą, niema i pół tuzina takich, którzyby myśleli o jakichbądź awanturach politycznych zagranicznych na własną rękę, gdy reprezentacya polska w Wiedniu siłą wypadków stała się czynnikiem decydującym w życiu konstytucyjnem Austryi a życzliwość panującego dla naszego kraju nie zawiodła się ani razu na polskiej lojalności. I w takiej to chwili *Czas* denuncyuje kraj z powodu czczych frazesów p. Romanowicza i przedstawia frakcyę, która wyczerpała całą swą polityczną mądrość w serwilizmie, jako—na szczęście — zwycięską i zbawiającą.

Pytamy, czy to ma być usługa, oddana krajowi w zamian za zaszczyt mizernego poparcia a raczej szkodzenia w zwalczaniu kandydatury pana R., czy to jest nawet usługa, oddana monarchii austro-węgierskiej?..“

Polskość na Szląsku austryackim, pomimo częściową ulgę przynoszącego rozporządzenia językowego, w tych samych ciągle znajduje się warunkach. Błysk sprawiedliwości, której od tak dawna domagają się słowianie szląscy, zaspokoił w małej tylko mierze skromne zresztą ich żądania. Zawód, jaki spotkał nadzieje szlązaków, przywiązywane do gabinetu hr. Taaffego, opisuje najlepiej petycya gmin powiatu frysztackiego, wręczona naczelnikowi rządu na Szląsku.

„Pod dawniejszymi rządami—mówi ona—daremne były nasze zabiegi, aby ustało uciemiężanie naszego języka w sądach, urzędach i szkołach. Kiedy atoli ministeryum Taaffego objęło ster rządów i oświadczyło, że zadaniem jego jest pojednanie wszystkich narodów Austryi, spodziewaliśmy się, że i dla nas nastały szczęśliwsze czasy. Tymczasem w przeciągu pięciu lat mimo ciągłych wysileń z naszej strony, aby nam sprawiedliwość wymierzono, nic się nie zmieniło; wszystko zostało po staremu, wyjąwszy rozporządzenie językowe, wydane do sądów, które tak mało nam przyznaje, że dawne stosunki prawie w niczem nie zostały naruszone.

Ogłaszając to rozporządzenie, oświadczyłeś JW. Panie prezydencie, że także w urzędach politycznych zadosyć będzie uczynionem potrzebom ludności. Na podstawie tego przyrzeczenia oczekiwaliśmy, że władze polityczne zaczną wkrótce pisać do gmin polskich po polsku. Gdy od tego czasu minęło już miesięcy kilka, wnieśliśmy prośbę do starostwa, aby korespondowało z nami w języku naszym rodzinnym, ku niemałemu jednak naszemu zdziwieniu oświadczono nam, że nakazu do tego niema a urzędnicy, chociażby chętnie spełnili nasze życzenie, bez nakazu z góry zmiany takiej nie mogą zaprowadzić.“

Z petycyi powyższej można się zatem najdowodniej przekonać, jak to w teoryi sprzyjający wszystkim ludom monarchii gabinet hr. Taaffego sprzyja im w praktyce. Wszystko prawie kończy się na obiecankach a najmniejsze ustępstwo wywalczać trzeba z trudem i drogo okupywać. Wolać by trzeba na cały głos, że rząd postępuje niegodnie, łudząc przyrzeczeniami i nic nie dając a tu jeszcze krakowskie *beschwichtigungsrathy* na miłość Boga proszą, aby nie drażnić rządu, bo i tak daje on więcej, niż może...

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, ażeby tym tylko wychowańcom uniwersytetów przyznawano posady nauczycielskie, których prawomyślność odpowiednie władze poświadczą.

Instytut puławski został otwarty.

Zapis. P. Łojko złożył w Banku Polskim 20,000 rs. na uniwersytet kobiecy. O tej ofierze pomówimy szczegółowo.

Wiedza. Jakiego czasu potrzebuje zmysł powonienia do odczucia wrażeń? Odpowiada na to francuski uczony Beaunis, po szeregu doświadczeń na sobie samym dokonanych, wyrażając rezultaty w setnych częściach sekundy: po amoniaku 37, kamforze 50, chloroformie 56, mięcie 63 itd. Szybkości odczucia woni moszusu nie mógł zbadać.

Konkursy. Akademia Nauk w Paryżu wyznaczyła nagrodę za rozwiązanie zadania matematycznego i przyznała ją: profesorowi oksfordzkiemu Smithowi oraz studentowi uniwersytetu królewieckiego Minkowskiemu. Ponieważ okazało się, że Smith już przed dziesięciu laty zadanie to w drukowanej swej pracy rozwiązał, zatem na Minkowskiego padł zarzut plagiatu. Najlekkomyślniejsze z pism polskich *Kuryer Warsz.* naprzód w jednym numerze postawiło „plagiatora“ pod pręgierzem, a w drugim stanęło w jego obronie. Pomijając niedorzeczność tych dwu lekkomyślnych wyroków, co do faktu samego przyznać trzeba, że podstępnie działał tylko ów Smith, nie doniósłszy, że konkurs jest zbyteczny, podczas gdy Minkowski mógł o jego pracy nie wiedzieć.

Wydalenie. Żydzi austryaccy, mieszkający w obrębie Rosyi, a niemogący wylegitymować się ze środków do życia, otrzymali rozkaz opuszczenia państwa.

Bezwyznaniowość rzadka a przynajmniej rzadko ujawniana w społeczeństwie polskiem, kosztowała p. Czarneckiego we Lwowie 50 zł. Nie chciał bowiem jako sędzia, złożyć przepisanej przysięgi religijnej. Dziwne prawo: pozwala obywatelom zapisywać się w aktach stanu cywilnego do bezwyznaniowych i jednocześnie karze ich za to.

Prasa polska. *Ekonomista* znowu umarł—czy zmartwychwstanie?

Prasa rosyjska. Dziennik *Moskowskij Telegraf* za „szkodliwy kierunek,“ został zamknięty ostatecznie.

Bibliografia polska. G. Renard *Czy człowiek ma wolną wolę?* Warszawa. Jest to pierwsza książka w wydawnictwie traktatów naukowych *Wędrowca.*

Bibliografia niemiecka. K. Frantz *Die Weltpolitik*, część I (Chemnitz, Schmeitzner). Jest to praca nader ciekawa, bo ogarnia całe pole obecnych działań politycznych, głównie zaś Niemcy.

Komitet wystawy pamiątek po Sobieskim w Krakowie ogłosił odezwę, zapraszającą do przesyłania tych zabytków, będących w posiadaniu prywatnem.

Olbrzymie dzieło. Francuskie ministeryum robót publicznych przedsięwzięło dokonać trygonometrycznego zdjęcia całego kraju. Praca ta ma na celu nietylko względy naukowe, ale także komunikacyjne (koleje żelazne, kanały itp.) i wojenne.

Dowcip. W Paryżu ukazał się *Słowniczek*, zawierający dowcipne objaśnienia najpowszechniejszych wyrazów. Oto próbki:

Aktorka — kobieta, która przyznaje się, że gra komedyę.

Amant — złodziej zwierzyny, który przestaje być interesującym, gdy posiada prawne pozwolenie polowania.

Brzydota — oprawa, która odstrasza od czytania książki.

Oczy—pistolety salonowe.

Ognisko domowe—lodownia.

Olimp—zamknięty wskutek wywłaszczenia.

Opatrzność — służąca do wszystkiego.

Pułapka—rodzina posiadająca córki na wydaniu.

Trawienie—polityka wewnętrzna.

Wdowa—mieszkanie do najęcia. Wiadomość u...

Walka—obłuda tiulowa.

Życie—podróż bez biletu powrotnego.

Drzewo wisielców. Niedaleko Berlina rośnie drzewo, na którem niedawno powiesił się już siedemnasty z kolei samobójca. Pewne pismo warszawskie robi uwagę, że zamiłowanie wieszających się do tego drzewa wynika „z poszanowania tradycyi.“ Może słuszny domysł, bo ileż razy wieszamy się na jednem drzewie także przez szacunek dla tradycyi!

Wynalazki. Jak donosi *Journal des Débats*, pewien amerykanin zbudował welocyped parowy (ogrzewany naftą), który przebiega 18 kilometrów na godzinę.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Nauczycielce. Zanim rada nasza do Pani dojdzie, będzie już pewnie spóźnioną. Nie.

Uradowanemu. Aleluja.

P. M. N. Nie potrzebujemy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Апрѣля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.